

B. [Borkowski Aleksander Leszek Dunin]

SEJM

USTAWODAWCZY RAKUZKI

ze szczególniejszą uwagą

na

POSELSTWO POLSKIE.

CZĘŚĆ DRUGA.

POZNAŃ,

NARZĄDEM KSIĘGARNI JANA KONSTANTEGO ŻUPAŃSKIEGO.

1850.

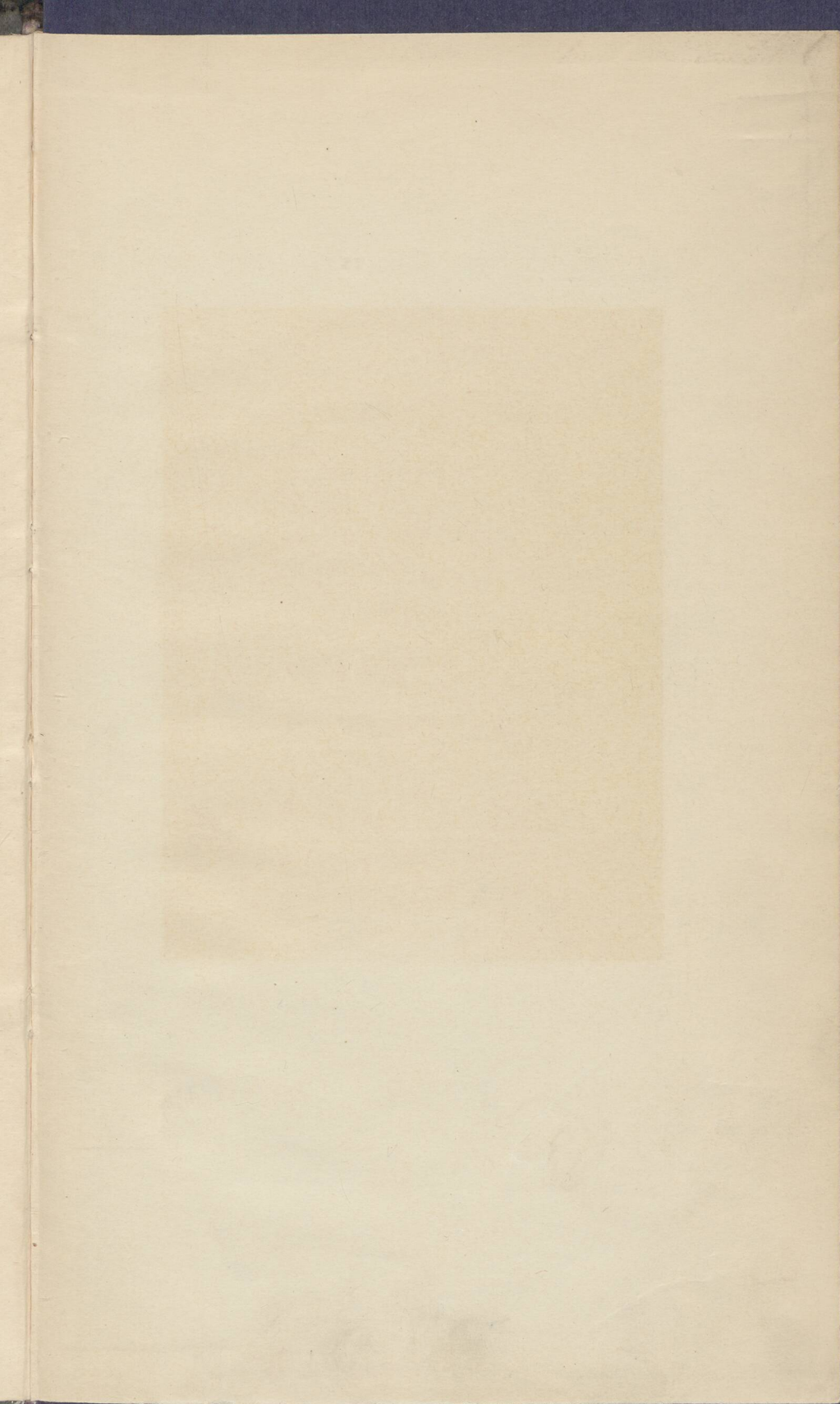
Bd
p 112052

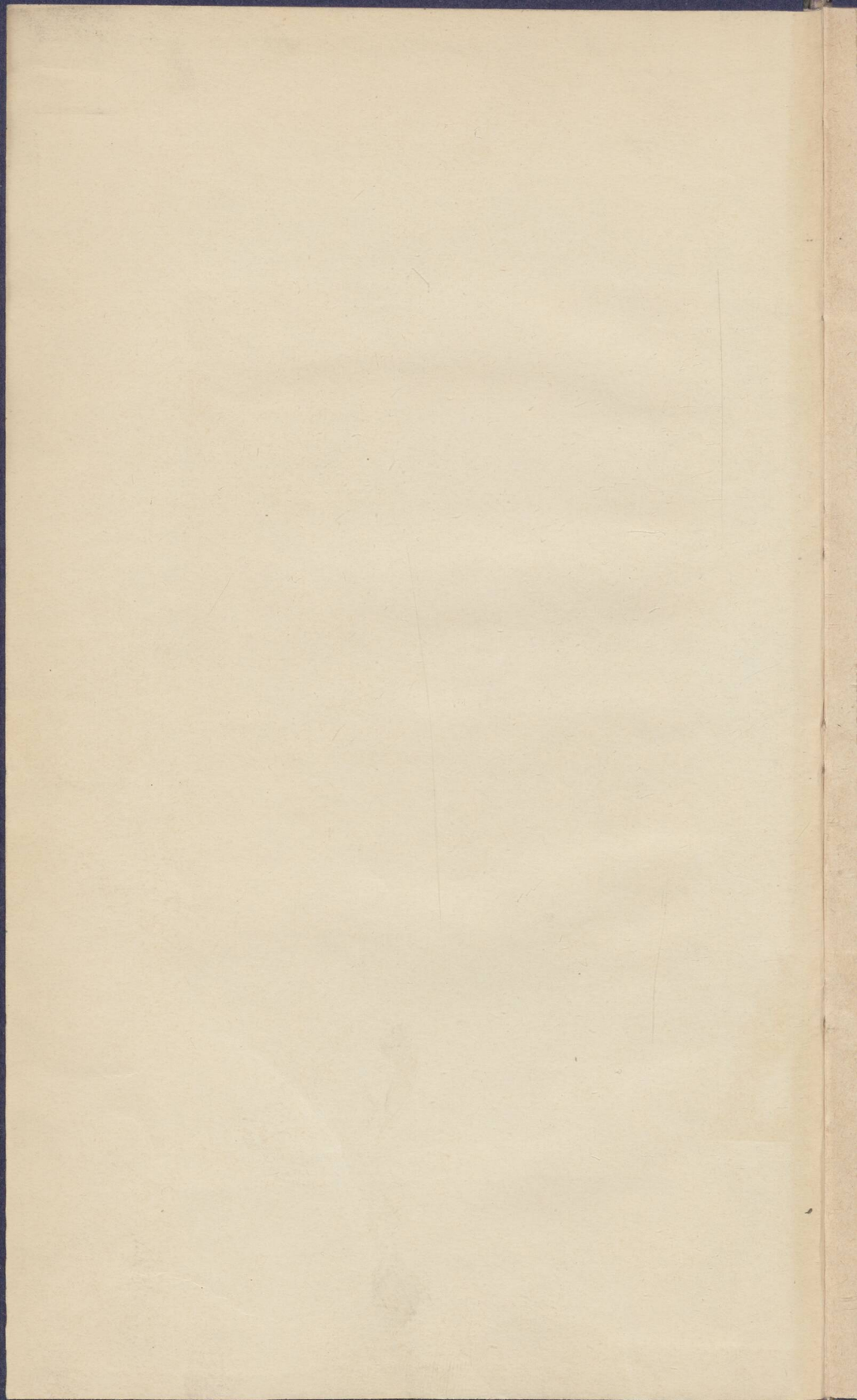
Wypożycza się
tylko do czytelní

WST
M
ROD
ZKI



BIBLIOTEKA
DRA JANA RYMARKIEWICZA
ZE ZGORZELIC
z Poznania.





112 052. II

OBRAZY

niektórych

posłów na sejmie ustawodawczym rakuzkim:

Franciszka Smolki.
Franciszka Palackiego.
Jerzego Lubomirskiego.
Franciszka Stadiona.
Floriana Ziemiałkowskiego.
Zdzisława Zamojskiego.
Mariana Dylewskiego.
Tytusa Dzieduszyckiego.
Adama Potockiego.
Waleriana Podlewskiego.
Szymona Kozakiewicza.

354

497423

B. [Borkowski Aleksander Leszek Dunin]

SEJM

USTAWODAWCZY RAKUZKI

ze szczególniejszą uwagą

na

POSELSTWO POLSKIE.

CZĘŚĆ DRUGA.

POZNAŃ,

NAKŁADEM KSIĘGARNI JANA KONSTANTEGO ŻUPAŃSKIEGO.

1850.

112 052. II 12



Poznań czcionkami W. Deckera i Spółki.

1922.16707 a

OBRAZY

NIEKTÓRYCH POSŁÓW.

OBRIEN

ALFRED H. BROWN

FRANCISZEK SMOLKA,

Posel Lubaczowski.

ВЕРХНЕУСЛУНОВСКИЙ

Пол. Лубяновск.



tórýs z Niemców opisujących sejm rakuzki nazwał wasy Smolki europejskimi wasami. To pewna, iż nie tylko w sejmie, ale w całym Wiedniu nie było im równych. Na pierwszy rzut oka zwracały całą uwagę na siebie i trzeba było naprzód z nimi obeznać się i oswoić, aby módz swobodnie przypatrzeć się twarzy. Jakis Wiedeńczyk odrysował głowę Smolki z tyłu, która przez wystające bokami wasy tak była podobną, iż kto go tylko raz widział poznawał go w tym rysunku. Kiedy po abdykacyi Ferdynanda Smolka na czele deputacyi sejmowej udał się z powitaniem nowego cesarza, młody monarcha junacko wystąpił, począł śmiało prawić z pamięci; w tym postrzega coś nadzwyczajnego, czego w życiu nie widział, były to wasy Smolki. Na taki widok osłupiał, stracił swą pewność, zapomniał, czego się nauczył, a Szwarzenberg podpowiadał mu resztę perory.

Nie trzeba znać Smolki osobiście, dosyć jest wiedzieć, że jako zbrodniarz stanu skazany był na karę główną, że jako członek sejmu należał do lewicy, a tenże sejm przecież kilkoma nawrotami mianował go swoim marszałkiem: aby się domysleć, że obok niepospolitych wásów miał także niepospolite duszy własności. Jego pewność w zasadach, jego krew zimna, jego wytrawność zahartowana w przeciwnościach wrażały poważanie nawet u ludzi przeciwnych mniemań. Smolka nie unosił się, bronił zadania swojego spokojnie, z przyzwoitą powagą, z głębokim zapatrywaniem się w przedmiot. W mowach jego nie masz namiętności, nie masz błyskotliwychrzutów myśli, nie masz krasomowczych przepychów i wezbrań; ale jest wszędzie rozwaga, spokojne, głębokie uczucie i niewątpliwa rzeczy znajomość. Smolka nie porywał wymową, lecz przekonywał. Z temi przymiotami łączył jeszcze wyrozumiałość na ludzkie słabości i wady, nie potępiał je gwałtownie, tylko łagodnie prostował; zwykłym natury ludzkiej wypaczeniom póbłażał, niewiedomość oświecał, nad zepsuciem ubolewał. Z równą cierpliwością naganiał gwałtowność i zaciekania się, chociażby w sprawie najlepszej, jak zbytęcną powściągliwość i niewolniczą zawistość. Był on

żywym przykładem jak będąc rzetelnym, członkiem lewicy ostatecznej można zarazem być umiarkowanym. Takie przymioty dawały mu najlepsze świadectwo bezstronności. Nie wsparcie ministrów, nie skłonność któregośkolwiek stronnictwa, nie usilności przyjaciół, nie pokątne zabiegi wyniosły go na marszałkowski stołek; ale owa wewnętrzna siła moralna, jaka nawet w złych i zepsutych znajduje cześć i uznanie. Rzeczywiście sejm ustawodawczy nie mógł uczynić lepszego wyboru. Dość jest powiedzieć, że po gwałtach, jakie się udały Windyszgrecowi, Smolka marszałek sejmu październikowego w Wiedniu zostaje w Kromieryżu znowu marszałkiem mimo groźnych wypadków przerażających umysły posłów lękliwszych, mimo wszelkiej usilności Czechów, którzy się z sejmu październikowego rozbiegli, mimo nieobecności niektórych posłów polskich, mimo życzenia ministeryum. Czesi chcieli koniecznie, ażeby marszałek był wyrazem górującej w sejmie opinii; udało się im parę razy namowami i układami z centrum przeprowadzić Strobacha, ale przekonali się nareszcie o daremności swoich wysiłków; sejm powracał zawsze do Smolki, a marszałek sejmu był wyrazem powszechnego szacunku oddawanego jego osobistym,

przymiotom. Nareszcie i Czesi przestali przeciwieć się.

Smolka posiadał w całym znaczeniu słowa zaufanie izby. Liberalność jego niezastraszala najwsteczniejszych, a jego umiarkowanie nie było w podejrzeniu u najzagorzalszych. Od wszystkich mile widziany mógł wpływać przedstawieniem i radą. Tym tylko sposobem wytłumaczyć sobie można, dla czego w czasie jego trudnego zaiste marszałkowania w październiku wśród najrozmaitszych żywiołów, w izbie nie wyrwał się nikt publicznie ze słowem, któreby wpadło wtedy, jak iskra do prochu, między lud uzbrojony, i potwierdziło może potwarze przeciwników, że w Wiedniu panuje bezprawie i anarchija. Kiedy po uzyskaniach Windyszgreckowskich sejm narażony był na różne dotkliwe przeciwności, czuwał Smolka troskliwie nad zachowaniem jego powagi, nad osobistem bezpieczeństwem jego członków. Przez jakieś ciągle nieporozumienia przytrzymano i więziono to Euistera, to najniewinniejszego Coepfla i. t. d. Natychmiast wychodziły z kancelaryi marszałkowskiej odezwy i upominania się. Po wypadłym na Messenhauzera wyroku wysłał Smolka posłów sejmowych do Ołomónca, aby wstawili się za ulaskawieniem. Za-

biegi te zniweczył Windyszgrec przezto, że zawyrokowaną w sądzie dorywczym karę śmierci dniem jednym przyspieszył.

O ile wymienione tu własności uzdalniały posła Lubaczowskiego na przełożonego sejmu, o tyle znowu nie zdatnym był na przewodnika jakiegokolwiek stronnictwa. Objaśniał on przekonania swoje spokojnie, ale nie starał się je narzucać, nie umiał wciągać, podżegać, namawiać, lub namawiających nasyłać. Ztąd zarzucano mu czasami obojętność. Niebyła to obojętność dla sprawy, dla celu, tylko dla niektórych środków; obojętność z położenia jego pochodząca. Nieraz wrzało mu zapewne w duszy, kiedy jaki głos z mównicy przekrzywił i obalamował prawdę, albo szkalował nasz naród; (Józef Neumann) ale na twarzy jego nie dostrzegłeś zmiany najmniejszej. Nieraz padały postanowienia wbrew jego rozumieniu, ale on stał nieruchomy, prawie nieczuły. Nie tak jak Strobach, który stósownie do uchwał w smak albo w niesmak mu przypadających, krzywił się, chmurzył, albo szydersko uśmiechał. Na twarzy Strobacha widać było złośliwą nie raz radość, jeżeli pokonanymi byli ci, których za przeciwników uważał. Smolka był zawsze jednakowy. Strobach nawet na stołku

marszałkowskim nie przestawał być człowiekiem partyi, Smolka był człowiekiem całego zgromadzenia narodowego.

Kiedy w czasie obrad nad prawami zasadniczymi mnóstwo podrzędnych wniosków poprawczych czyniło uporządkowanie pytań, pod głosowanie iść mających, bardzo trudném i zawiłém; to Smolka ułatwiał i upojedynczał te gmatwaniny rozbiorem nieraz drobiazgowym, ale Niemcom bardzo się podobającym, tak, że najbiurokratyczniejsi pedanci nie mogli się dość nadziwić systematyczności jego układu, ścisłości jego pobudkowania. (motywowania). Za tem téż szło, że za marszałkostwa jego porządek pytań nie wzniewał długich debat, nie zabierał dużo czasu. Raz tylko Antoni Zygmunt Helcel w kwestyi usamowolnienia kościoła zabrawszy głos w celu sprostowania porządku pytań, zaczął od popierania swojego wniosku. Więc izba w krzyk, że rozprawy nad przedmiotem już są zamknięte. Umilkł Helcel na chwilę, i znowu przyrzekał, że będzie mówił o porządku pytań i znowu zaczął od uzasadniania wniosku swojego. Izba w krzyk znowu. Nieporozumienia te długo nie trwały; Helcel usiadł i więcej nie wstawał. Szkoda! Achil-

les kościelny w piętę ugodzon! najcudniejsze argumenta nie dostaną się do potomności!

Posła Lubaczowskiego, piastującego urząd w sejmie najwyższy, nie opuszczała nigdy owa rozwaga, owa bezstronność, które go szczególnie zalecały i wyniosły. Zdawało się czasami, jakoby zapominał się i nie uważał. Niebyło to roztargnienie, ale umysł nawykły zastanawiać się nie przydawał się do sądów doraźnych. W chwilach jednak stanowczych znachodziła się w nim na prędkę cała przytomność. — Kiedy terażniejszy cesarz, objawszy po stryju swoim państwo, w odezwie, uwiadamiającej o swoim wstąpieniu na tron, zaczynał od słów: »My Franciszek Józef, z bożej łaski, cesarz etc. etc., to po odczytaniu téj odezwy przez ministra znajdował się sejm w przykrem położeniu; bo, jak wiadomo, były cesarz Ferdynand pisał się od czasu rewolucyi, konstytucyjnym cesarzem. Cóż było robić? Czy udać, że się nie uważało? Czy dla śmiesznego tytułu wszczynać debatę w niewłaściwą porę? Pierwsze mogłoby ujść za przyznanie sejmowe, drugiego nie dopuszczonoby.

Z tego kłopotu wybawił sejm Smolka, albowiem postawszy powiedział: »Przyjmijmy tę

wiadomość z okrzykiem, niech żyje cesarz konstytucyjny Franciszek Józef.»

Więc i ja mój obraz temi słowy zakończę:
»Niech żyje poseł Lubaczowski, marszałek sejm
mu ustawodawczego.«

FRANCISZEK PALACKI,

Posel Pragski.

FRANCISZKY PÁL

Paul Francis



Wiađomo, jakić trzymali się polityki Czesi na sejmie ustawodawczym rakuzkim. Wynałazcą jć był Palacki. Założył on pierwsze podwaliny w odezwie do Frankfurtskiego wydziału pięćdziesięciu. Na tych zasadach i w tymże duchu wznosili posłowie Czescy na sejmie ustawodawczym dalszy budynek. Palacki należy do najuczeńszych i do najbardziej poważanych w swoim narodzie, z powodu zasług położonych w poszukiwaniu dziejów ojczystych. Twarz jego przewiedła świadczy o długim przesiadywaniu w katakombach, o żmudnej pracy wśród grobowego powietrza. Peruka jego przypomina zżółkniałe i zbutwiałe pergaminy starych kronik. Zimna powaga i pedantyczna sztywność dowodzą ciągłego obcowania z umarłymi. Gdyby nie uśmiech, który nawiedza czasami lica, nie aby je ożywić, tylko aby je jak wiejczkę (wachlarz) ściągać i rozciągać, wziąłbyś go za dobrze zachowaną

mumię owianą oddechem grobowców. Jak niektóre znamiona cielesne zapowiadają zawczasu nierozwinięte nawet jeszcze własności duszy, tak znowu ich rozwijanie się wyrabia odpowiednie sobie znaki widome, a postać zewnętrzną, zwłaszcza u ludzi natężających się umysłowo, jest prawie zawsze podobizną wewnętrznego człowieka. Wzrost duszy i jej prace wpływają silnie na ciało. Pojrzyj na Pałackiego, a ujrzysz mu w oczach na pozór martwych, ducha nawykłego grzebać się w ziemne głębie. Ze zmarszczków przy ustach i pod oczyma wygląda analiza, jakby ostry nóż anatomiczny. W nieruchawości rysów, w jednostajności wyrazu poznasz przymioty zachowawcze, ale zarazem poczujesz brak sił twórczych i sprężystej gibkości. Takim był sternik Czeskiego poselstwa.

Historyk z urzędu zawsze jest złym politykiem, tym bardziej w epoce przechodowej, kiedy nowe zasady domagają się nowych form. Historyk pojmuje życie według objawów śmierci. Między historykiem, a politykiem taka jest różnica, jak między anatomem a lekarzem. Lekarz powinien znać anatomię, ale anatom leczyć nie zdoła. Dobry polityk powinien znać historję, ale historyk może polityki nie znać. Historyja jest zachowa-

nym trupem narodów, różni się od życia jak mumia. Historyk patrzy na wszystkie składy i rysy życia, ale warunków jego domyśla się tylko, podług tych martwych członków i organów, jakie ma przed oczyma. Mylą się bardzo ci, którzy myślą, że historia jest przechowaniem życia narodów. Życie jest ruchliwe, gorące, ciągle przeobrażające się; przechowywanie życia jest zatrzymaniem go w pewnym załamie przeobrażenia, jest nieruchomością, jest śmiercią. Cóż z tego, że anatom widzi, gdzie się krew wyrabiała, którą się rozlewała, aby nadać ciepło i ruch? Czyż przez to powtórzy życie? zrobi krew i popędzi ją temi drogami, któremi zwykła obiegać? Pergaminy kronik, stronnice dziejów chociaż zawierają opisy ruchu i bórz, leżą jednak przed nami zawsze nieruchomo, zawsze nieodmiennie, zawsze jednakowo, nigdy inaczej. Są to dageu-rotypy przeszłości. Ztąd też pochodzi, że prze-siąknięte historią umysły zawsze są zachowa-wcze (konservativ) zawsze lękające się ruchów potężnych, zatem do budowania nie zdatne. Drganie i trzęsienia gwałtowne są nieraz potrzebne do ocalenia życia, ale obalają groby, które pragną spokoju, walą historyzm. Dowolność, niewola, i ucisk i przywileja i przesady i lepszość pocho-

dzenia i urojone powołanie do panowania, i poddaństwo i jego powinności jakąż mają inną podstawę i prawność, jeżeli nie zwyczajową, nie historyczną? Oprzyjmy się na niej, a zaprzemy wrota wszelkiemu postępowi, potępimy i zakazemy rozum. Coś tak przeciwnego naturze jestże podobnem? Absolutyzm opiera się na historyzmie, pisze traktaty i dyplomata, opatruje je wiarygodnemi pieczęciami, utrzymuje na ich obronę miliony bagnetów; a przecież nie podoła wstrzymać życia i wzrostu narodów. Potęga myśli łamie miecze i kruszy działa, a wszystkie owe bardzo poważne umowy i nadania okazują się śmiesznymi swistkami, których wartość zwietrzała.

Ideałem historyków w polityce jest, aby społeczeństwo ludzkie tak było stateczne, jak pisane historye; czyli innemi słowami, aby narody tak robiły historyę w życiu, jak oni ją robią w książkach. Opierając się na pewniku, że jednakowe przyczyny, jednakowe sprowadzają skutki, zastósowują przeszłość do terażniejszości, aby wywodzić swe wnioski. Ale się mylą. W życiu narodów nie masz jednakowych przyczyn. Każdy rok zmienia ogół widoków, masę oświaty, która jest tak ważnym czynnikiem w historyi jak stopień ciepła w czynach i składach chemicznych. Więc,

zarzuca mi może, co roku trzeba konstituować narody? Nie, moi panowie! W narodzie jak w owocu nie wszystkie części dościgają odrazu; im więcej jest części nie dościgłych, to jest żywiołów wstecznych (reakcyjnych) tem dłużej będzie musiało słońce dopiekać, ażeby owoc dojrział. Ustawy nie trzeba zmieniać co rok, ale ją trzeba zrobić przestronną, nie ciasną. Nie obcinajcie ustawy według waszych pojęć historycznych, to jest, pojęć przeszłości, nie przystosujecie jej za dokładnie i za lekko do wymagań codziennych, do potrzeb obecnych, a w tedy im bardziej rósć będzie naród, tem stósowniejszą i dogodniejszą ustawa mu będzie. Części dojrziałe w narodzie wyprzedziły swój czas, one są powołane na budowniczych do nowój ustawy. — Nie przeszkadzajcież im, nie ujmóście z obszerności ich wymagań, nie krępujcie im rąk drobnemi względami i obawami; a ustawa będzie dobrą i na długo wystarczy. Dobry polityk jest historykiem przyszłości; Palacki był tylko historykiem przeszłości. Znał on dokładnie rany jakie narodowi jego zadało sąsiedztwo Niemców cheiwych rozprzestrzenienia i zaboru. Rak niemiecki roztaczał już wielką część jego ukochanej Czechii. Zdało mu się zatem, iż całém zadaniem

polityki obecnej jest zabezpieczyć się od tego niebezpieczeństwa, iż rozwiązanych przez rewolucję rąk nie można lepiej użyć, jak sypiąc wały i bijąc ostrokoły od Niemiec. Anatom myśli, że najlepiej jest części zdrowe oddzielić od części zarażonych; ale lekarz wie, że przyczyna słabości jest głębiej; że oczyszcwszy krew znosi się słabość, a części dawniej zarażające mogą się stać jeszcze bardzo użytecznymi częściami. Nagi historyzm żąda mechanicznych środków, żywa polityka wymaga przerobienia treści. Historyczny absolutyzm czyni zbrodniarzy stanu nieszkodliwymi przez więzienia i szubienice, rząd rozumny i pocziwy przez swobody i wolno myślnie instytucje. Rewolucja przynosiła wyobrażenia braterstwa i wzajemnej pomocy narodów, trzebaż je było wspierać, rozwijać, upowszechniać słowem i ustawami, ale nie stawiać na stanowisku historycznym, na stanowisku narodowych nienawiści. Stanowisko takie było stanowiskiem groźby i wojny. Do wojny potrzeba siły, zatem Palacki ze swoim stronnictwem wchodził w przymierze z przerażonym absolutyzmem, opierał nadzieje narodu swojego na dynastji, pragnął Austrii jednej, potężnej, słowiańskiej. Dla urzeczywistnienia tej myśli gotów był poświęcić cokolwiek z wyma-

gań czasu, ze swobód ludowych, byle tylko rząd czym prędzej pokrzepić i od upadku ocalić. Możeby i na téj zasadzie dało się coś tymczasowo sklecić na prędcę, gdyby Palacki był zarazem rządem. Ale absolutyzm przyjmował mile usługi polityki Czeskiej, uboczną zaś drogą wyzyskiwał ją do zamiarów osobnych, do widoków, które zatajał. Służył więc Palacki ze stronnikami swoimi szczerze obłudnemu rządowi; aż wreszcie ze łzami w oczach powiedział »oszukano nas.« Poselstwo Czeskie lękało się Niemców, chciało Austrii słowiańskiej. Ależ w téj Austrii byli i Niemcy, którzy do niedawna przewodząc, również lękali się supremacyi słowiańskiej, więc pociągali ku częściom jednorodnym, ku sile narodowej, ku Frankfurtowi. Czyż sądził Palacki, że dynastia dla państwa słowiańskiego zrzuca się właściwej Austrii i Styrii? że je odeszła do jedności niemieckiej? Czy chciał może, aby to państwo Austryjacko słowiańskie, dla liczebnej przewagi słowian, zatrzymywało przy sobie przemocą Niemców, jak szubiennika na haku? Nie; ale Palacki chciał równego uprawnienia, autonomii i federacyi narodów składających państwo Austryjackie. Dobrze! A gdyby w skutek téj autonomii Niemcy chcieli wystąpić z téj federacyi

i idąc za naturalnym bardzo właściwym pociągiem połączyć się z Niemcami? Cóż wtedy? Czy pozwolić im? Czy uciekać się do przemocy słowiańskiej, co byłoby istotną supremacyją? Jakżeż wybrnąć z tych zawłości, aby i państwa Austriackiego nie dzielić i nie wprowadzać żadnych narodowych przewodzeń przeciwnych zasadzie wolności, ideom wieku?

Miłosierdzie dla Austrii obudziło się w doktrynerach Czeskich jeszcze w czasie kongresu słowiańskiego w Pradze. Tam rozkrzewiano myśl Austrii słowiańskiej. Pod Austryją jednak nie zupełnie jasne musiano mieć wyobrażenia. Rozumiano pod nią coś bardzo słabego, kiedy obudzała litość i potrzebowała czeskiej pomocy, aby nie zginąć, i coś bardzo silnego, kiedy miała obraniać Czechów od drapieżności niemieckiej. Windyszgrec nie zgłębiał tych mętów i poprostu rozgonił kongres słowiański. Ale Windyszgrec był żołnierz, nie znał się na polityce, trzeba mu wybaczyć. Więc posłowie Czescy nie zachwiani w postępowaniu, przywieźli w najlepszej myśli te polityczno doktrynerskie męty na sejm ustawodawczy do Wiednia. Ministrowie zażyli tego zaczarowanego ulepku i udawali, że im do smaku. Czas długi panuje pomiędzy mini-

strami i czeskiem poselstwem, przyjaźn, zgoda i solidarność; aż nareszcie kiedy Czesi wszystko zrobili, na co przydać się mogli ministrom i przyszła kolej na wzajemność; ministerjum rozgania sejm ustawodawczy, odsyła Czechów z najlepszym lekarstwem do domu i przepisuje całkiem inną oktrojowaną receptę. — Powinno to być nauką dla zastępców ludu, aby nie udawali bardzo mądrych, nie nurtowali dyplomatycznemi kryjówkami, ale szli drogą prostą uczciwości i zdrowego rozsądku. Bo czyliż teraz poprawiło się położenie Czechii? Z dwu stron zagraża jęj niebezpieczeństwo: od Niemiec, przeciw którym bronić ich miała Austrya słowiańska, i od tęg Austryi nie słowiańskiej ale oktrojowanej. Cóż zrobią Czesi? Czy się zjeść dadzą? O! nie, bronić się będą do upadłego, bo mają przykład w Węgrzech, co może naród kilkumilionowy z silną wolą, chociaż w najtrudniejszych okolicznościach. Więc Czesi bronić się będą przeciwko Niemcom i przeciwko Austryi, a niedawno chcieli, aby ich przeciw Niemcom Austryja broniła! Brakowało im poczucia siły narodowej, aby powiedzieć: nie lękamy się o narodowość naszą, obronimy ją sami; teraz zaś na sejmie brońmy wspólnie zasad wolności, dokończajmy rewolucyi, nie dopusz-

czajmy reakcyi, nie dajmy dźwigać się absolutyzmowi. Zagłębiony w przeszłości duch Palackiego nie miał tyle energii, tyle gotowości do poświęceń. — Na to potrzeba młodego nie skośniałego serca, silnej wiary, zapału i natchnienia. Co więc posłowie czescy popsuli, to naród czeski naprawi niewątpliwie.

Franciszek Palacki nie odezwał się w sejmie, tylko parę razy w przedmiotach małej wagi. Za to też za sejmem nakręcał czynnie maszynę czeskiego poselstwa, napawając ją swoim widzeniem. Był on jej oczyma. Może później w zadaniach ściśle politycznych, dotyczących się mechanicznej budowy państwa, byłby zabierał głos częściej, i przysługiwał się dobrej sprawie swoją radą, zapasem swoich wiadomości, swoim krytycznym, zgłębiającym duchem. Ale nim słońce zeszło, rosa oczy wyjadła. Zawód politycznej jego działalności ustał, nim użyte być mogły skarby nagromadzone trudem lat długich z przypatrywania się doświadczeniom wieków. Nim przyszło do stawiania pięknej budowy, zabrakło miejsca; bo podwaliny, jakie założyła rewolucja, zostały zgruchotane i usunięte z wielkim zadziwieniem, ale nie bez przyczynienia się tych, co byli powołani budować. — Stawiajże dom na powietrzu!

JERZY LUBOMIRSKI,

Posel Łańcucki.

JESZY DOBOMIRSKI

Posel Jankow



ubomirski spędził lat pare na naukach w Pradze, gdzie obznajomił się dokładnie z duchem i dążnościami patryotów czeskich. Członek jednej z najznakomitszych rodzin wielkiego słowiańskiego narodu, którego niezawisłą odrębność zgwałciła chciwość przemocy, zasłaniając się pozorami konieczności politycznej: czuł żywo narodowe upośledzenie i niesprawiedliwość, co mówię? tyrańską zbrodnię, jaka ten naród dotknęła. Obdarzony sercem gorącym i bystrą wyobraźnością, pełen najlepszych chęci służenia sprawie ojczystej, nie dziw, że cały przejął się myślą połączenia Słowian w jedno potężne państwo. Wszakże w tej myśli widział wskrzeszenie i odzywającą świetność swojej tułaczjej ojczyzny. Marzył więc z uniesieniem, z namiętnością, z nabożeństwem o federacyi słowiańskiej, tak jak prawdziwi patryoci niemieccy o jedności Niemiec. To święte bierzmowanie duchowe cię-

żyło na polityce jego jak grzech pierworodny. Patrzmyż na szczególność pokładów moralnych równie zagatkowych, równie nie przewidzianych, równie teoryami nie objętych, jak i pokłady ziemi. Rewolucye 1848. napełniły pierś Lubomirskiego jak i piersi patryotów niemieckich nadziejami urzeczywistnienia swoich ubóstwionych życzeń. Cóż sprawiedliwszego nad te otuchy! Ale rozwój polityczny narodów zawarowany jest od porządkowego stopniowania, a niecierpliwość ludzka chciałaby go przyspieszać na miarę własnego krótkiego życia. Doczekawszy się dawno upragnionój pory, patryoci niemieccy chcieli natychmiast łączyć Niemcy; patryoci słowiańscy natychmiast federować Słowian! Taż sama była posada ich nadziei, jednakowa słuszność ich dążeń, jednakowy ogrzywał ich zapal; trzebaż ażeby zamiast wspierać się wzajemnie, wzajemnie sobie zawadzali?!

Polączenie Niemiec! połączenie Słowian! zaiste dobre to, sprawiedliwe i pomyślność narodom rokujące; ale nie tak łatwe do osiągnięcia, nie tak do dopięcia odrazu. Olbrzymie leżały w drodze przeszkody: interesa dynastyczne, przywłaszczenia spadkowe, urok dowolności, bezprawia zwane prawami przyrodzonymi z bożej łaski.

Nie sądzimy, aby owe rozdrobnienia i podziały jednakowych narodowości były w Europie przypadkowe; jest to wynikłość politycznej mądrości despotów, skład na utwierdzenie ich bytu umyślnie w państwa wprowadzony. Nie dopuszczają oni, aby tak skoro obalać ich najsilniejsze podpory, niszczyć ich prace dokonane w nocy, bo w wiekach małoletności i ciemności narodów. Prędko postrzegli się Słowianie i Niemcy na tych trudnościach, widzieli niepodobieństwo doraźnego ich usunięcia; cóż tedy robią? Oto starają się dążności swoje z nimi wyjednać i pogodzić. Tak tedy z najczystszej źródła wypływająca polityka zanieczyściła się w ręku ludzkim. Czesi wypracowali plan takiego pojednania idei słowiańskiej z zawadami, jakich usunąć obecnie nie mogli. Z interesami dynastji z prawami przyrodzonymi z bożej łaski i t. d. To było treścią ich polityki. Sprzyjała im liczebna przewaga Słowian w państwie Rakuzkiem, chcieli tedy jednej potężnej Austrii słowiańskiej, zatrzymującej w związku swoim na mocy jednakowej fedeyacyjnjej ustawy, wszystkie należące do niej narodowości. Całkiem przeciwny stosunek był w Prusiech, tam była liczebna Niemców przewaga, więc Niemcy godząc ideę niemiecką z trudnościami, jakie jej stały na

zawadzie: z interesami dynastyi, z prawami historycznymi, z prawami z bożej łaski i t. d.; chcieli pod nazwiskiem niemieckiego cesarstwa Prus jednych, potężnych, z zachowaniem wszystkich narodowości do nich należących. Więc przeciw temu powstawali w Prusiech Słowianie, a przeciw polityce czeskiej powstawali w Austrii Niemcy. W Prusiech miało słuszną Polskie stronnictwo, w sejmie ustawodawczym Rakuzkim stronnictwo zwane niemieckim. Jak Niemcy w Frankfurcie i Berlinie, tak znowu w Wiedniu czescy posłowie zaparli się zasad rewolucyjnych. Gra jednak Czechów była niebezpieczniejszą. Bo mimo liczebnej większości Słowian w państwie Rakuzkim dynastya była niemiecka i rząd niemiecki. Posłowie czescy godząc ideę słowiańską z zawadzającymi jej trudnościami, pominęli trudność jedną, to jest: urok dowolności absolutyzmu. A o tę trudność właśnie rozbiły się ich zamiary. Im się zdawało, że ta trudność usuniętą była zaraz w pierwszych dniach rewolucyi, że absolutyzm przyzwalając na konstytucję, do prawdy własną zamordował się ręką; że reakcyja, jak utrzymywał Rieger, Jonak i inni, była niepodobną. Więc sprzyjali rządowi, ufali ministeryum i zamiast służyć idei słowiańskiej, służyli rze-

czywiście, chociaż niechęcy, absolutyzmowi. Był to błąd wprawdzie, ale błąd srogi, bo widoczną była nieszczerłość rządu, widoczne pokusy wsteczności. —

Cóż mieli robić? Oto zamiast skwapliwego prawienia o Austrii jednej, słowiańskiej; zamiast przesadzonej, a jak się okazało, błędnej pewności, że ustała zawada w absolutyzmie leżąca: pokonywać ją zjednoczonymi siłami, bo w tém zgadzały się chęci wszystkich narodowości, uczynić ją nie możebną, zabezpieczyć się z téj strony niby bezpiecznej. — To tylko mogło nadawać dalszym pracom trwałą podstawę, tego chciała większość posłów polskich, ale niestety! mniejszość posłów sejmowych. Na utwierdzonej wolności trzeba było chcieć Słowiańszczyzny, ale nie przez Słowiańszczyznę chcieć robić wolność. Były już pewne rewolucyi uzyskania, nuż je utrwalić! bo mądre jest przysłowie, że: lepszy wróbel w kieszeni, jak szczygieł na dworze.

Złą była zaiste polityka czeska, ale idea słowiańska, na której się opierała, złą przez to nie jest. Jest ona jasna jak słońce! Tak sprawiedliwa, tak prawdziwa, tak święta, iż nie masz siły, któraby ją mogła pokonać lub zaćmić. Sto razy wyznawcy jój pobłędzą, sto razy wrogowie

jěj obchodzić będą ucztę wygranėj, a ona przecież powstanie na końcu niepokalana, potężna, zwycięzka. Nie właściwe są obawy, abyśmy Polacy mieli stopnieć i zniknąć w Słowiańszczyźnie. Owszem, my tylko w Słowiańszczyźnie Polakami jesteśmy, Polakami być możemy. Znieśmy Słowiańszczyznę, a Polaków nie będzie, bo Polacy są Słowianami.

Idea słowiańska zajmowała, jak powiedziałem, całą Lubomirskiego istotę; wypieścił on ją w swėj duszy, widział kwitnącą w stubarwnych tęczach swych myśli. W tém błysła chwila obiecująca tym snom uroczym rzeczywistość. Pragnął więc Lubomirski z wytężeniem, z niecierpliwością, ażeby słowo stało się ciałem jak najprędzej. W takich razach tylko długie doświadczenie, tylko historia może nauczyć cierpliwości, bo pokazuje, iż pojedynczy ludzie często z najlepszymi chęciami, z najpiękniejszymi zdolnościami znikają, nie doczekawszy się owoców swych starań; a idea trwa zawsze i znajduje kiedyś spełnienie, może przez mniej dobrych, mniej zdatnych.

Dzieje przeszłorocznėj jedności niemieckiej powinny nam być nauką na przyszłość. Sejm Frankfurcki zebraniem swoim powściągnął ruch, na

jaki się zanosilo w całych Niemczech, a jaki wykonany nagle w pierwszej nieopatrnej chwili, byłby więcej dokazał jak wszystkie sejmy na świecie. Niemcy czekali i czekali, sejm radził i radził, a absolutyzm przygotował się i wzmoćnił. Obaczyli go wreszcie i profesorowie Frankfurtesy jak już wypinał szpony nad ich karkami. Więc gwałtu, trzeba się spieszyć! Radzi nie radzi, postanawiają koronę czeską włożyć na skroń króla pruskiego, chociaż Prusy w stosunku do innych części Niemiec są jeszcze despotycznym pierwiastkiem. Dobry to podarunek, cesarstwo, jeżeli go niesie parę kroć zwyciężkiego żołnierza, jak Napoleonowi I. np.: ale nie dwudziestu przestraszonych doktrynerów. Przyjdzie czas, kiedy trony wstrząśnione pozwolą i nam Słowianom odegrać komedję Frankfurtskiego sejmku. Biada nam, jeżeli się wybiegiem takim damy ululać i uwieść. Będziemy prawić i prawić, jak prawiono w kościele Pawła, aż pokaże się wreszcie, że już nie słów trzeba, tylko oręża. Więc gwałtu! radzi nie radzi, poniesiemy koronę słowiańską przed moskiewskiego cara. A wiecie, co car z nią zrobi? Oto co król Pruski zrobił z niemiecką. Niemcy przebyli już jedną kryzys swojego wzrostu, obaczycie, że się im wyrzną zęby polity-

czne! my pouczeri ich przykładem, starajmy się tę słabość odbyć mniej boleśnie.

Tylko gorączkowe pragnienie, tylko młoda niecierpliwość wytłumaczyć nam mogą, dla czego Lubomirski w każdym niemal najobojętniejszym przedmiocie obrad, upatrywał styczność z kwestią słowiańską; dla czego wszystko do téj styczności odnosił i jak na kamieniu próbieczym oceniał; dla czego nie mógł prawie ust otworzyć, aby nie napomknął coś o federacyi austriackiej. Takie niepotrzebne czwałowanie, takie przedwczesne przesądzanie, chociaż najniewinniejsze miało pobudki, nie dowodziło jednak wytrawności politycznej, nie dowodziło parlamentarskiego taktu. Przez cały ciąg sejmu ustawodawczego od jego urodzin w Wiedniu, aż do jego pogrzebu w Kromieryżu, nie było razu jednego potrzeby, mówić o przyszłym składzie politycznym państwa austriackiego. Wszystkie owe szumne oświadczenia, czynione przez wielu posłów, że pragną Austrii jednej, potężnej; że pragną autonomji prowincyi; że pragną federacyi, że federacya tylko jest możliwa i t. d., były zawsze naciąganiem w jednych przez pochlebstwo u drugich, przez krewkość. —

Lubomirski upatrywał w Austrii słowiańskiej pierwszy zarodek przyszłej wielkiej Słowiańszczy-

zny. Zdawało mu się, że najgłówniejsze ustąpiły zapory, że nie zawadza tylko jeszcze owe tak zwane niemieckie stronnictwo; więc przeciw niemu łączył się i powstawał. A przecież to stronnictwo było w mniejszości! Ale Lubomirski przewidywał, iż w kwestyi federacyi opuszczą Czechów ich sprzymierzeńcy, całe centrum sejmowe. Przewidywanie to widzi mi się słuszne, ale czyniony ztąd wniosek nie był słuszny. Opuszczenie stronnictwa czeskiego przez centrum nie byłoby w tym przedmiocie utworzyło nowęj w sejmie większości. Posłowie polscy, ilu ich było, jak dzielali ze stronnictwem lewem nieufność w zamiary rządu i obawę reakcyi, tak byliby podzielili ze stronnictwem prawem życzenia federacyi. Ale przedwcześnie spowiadać się nie chcieli, nietylko dla tego, że to było niepotrzebném, ale dla tego jeszcze, że to byłoby szkodliwém, bo nastroczałoby ministeryum pewne oparcia do jego poprzednich obliczeń. —

Lubomirskiego wada spoczywała w tém głównie, że nie ów ideę owładał, ale idea nim owładnęła. Więc razem z pojęciami Słowiańszczyzny przyjął od Czechów ich politykę. Pojmował on bystro, to jest, przywłaszczał sobie

łatwo gotowe pomysły, ale nie przeglądał stosunków prawdy danej z rzeczywistemi okolicznościami; nie zważał, że obecność jest jakby pryzmą, przez które taż sama prawda w kilkorakich objawić się może pozorach i barwach. Czesi zakazywali obawę reakcyi, nakazywali ufność w ministerjum. Lubomirski przychodził z kraju sparzonego nie raz, gdzie reakcyja była chlebem powszednim; więc nie mogąc pogodzić tych sprzeczności, utrzymywał w mowie nad wnioskiem Kudlicha, że jest reakcyja i że nie ma reakcyi, że się jęj lęka i nie lęka. Lubomirski posiadał obszerne o Słowiańszczyźnie wiadomości, rozumiał wiele, ale czuł więcej, a przy prawości zamiarów swoich, żądał, aby drudzy rozumieli to, co on czuje. Kiedy chodziło o przypuszczenie deputacyi węgierskiej, posłowie czescy odśpiewali cały rejestr grzechów Madziarskich przeciw Słowianom. Lubomirski sądził, że to przypuszczenie byłoby przeniewierzeniem idei słowiańskiej. Nie uważał, że Stadion i Neumann i najzakutsi biurokraci austriacy, najzawiślejsze rządowe istoty, były przeciwko temu przypuszczeniu, nie przez Słowiańskość zapewne. Zkąd im przyszło, będąc czas długi narzędziami ucisku, ujmować się naraz z takim pożałowaniem za uci-

śnionymi? Madziary upośledzali, wynarodowiali Słowian. To prawda. Zle to było, niegodziwie! Ale Madziary byli na ów czas jedyną podporą wolności w państwie austriackim, rzeczywistą niepotarganą jeszcze siłą przeciw absolutyzmowi, Nie godziło się lekce jój ważyć, nie godziło się jój marnować! Owoż pryzma obecności, różnica między rozumieniem a czuciem. Gdyby nie zagorzałe upewnienie, że absolutyzm austriacki runął na zawsze bez nadziei powrotu, i Czesi przy tej sposobności postąpiliby rozważniej. Niechby na chwilę ucierpiało uczucie słowiańskie, wkrótce wszyscy Słowianie rakuscy byłiby nam wdzięczni. A dziś? biedne ofiary zbytniego przywiązania! Lubomirski wystawiał sobie Jellaczycę jako od stóp do głów uzbrojonego wyobraziciela idei słowiańskiej, jako bohatera słowiańskiej przyszłości. Jemu zaufał skarb swój najdroższy. Sławę jego pielę Słowianie węgierscy, roztrąbiali czescy posłowie. Te świejące ułudy wzroku, te powabne ogniki z bagnistych wyziewów pochodzące miały dla posła Łańcuckiego polityczną rzeczywistość, a kiedy mgły się rozpieczęły i z za tułmanów naga wystąpiła istotność, wołał z goryczą zawiedzionego serca: »Jellaczyc zdrajca! Jellaczyc zdrajca!«

Na przewodnika partyi okazywał Lubomirski wiele zdatności. Zapobiegliwy, niezmordowanie się krzątający, nie zrażał się przeciwnościami, w izbie jeszcze obchodził ławki, jeszcze się znosił, jeszcze przedstawiał. Przy każdym pytaniu, nawet mniej ważnem, obliczał głosy pewne, niepewne i prawdopodobne. Klub polski pilnie odpowiadał i do bywania w nim zagrzewał. Utrzymywał związki z innymi klubami, to skłaniając je, to wchodząc z nimi w układy. Nic mu nie było obojętnem, nawet do wyboru funkcyonarzy po oddziałach, przywiązywał pewne znaczenie, starał się go naprzód ułożyć i przygotować. Stałby się zapewne przewodnikiem polskiego poselstwa, gdyby nie nieszczęśliwa polityka czeska, która nie zgadzała się z jednych przekonaniem, z drugich sumieniem.

Lubomirski nie odznaczał się krasomówstwem ani w ubraniu myśli ani w ich wygłaszaniu. Mówił wprawdzie wyraźnie i dość głośno, ale nie dobitnie i bardzo powoli. Nie wiem, czy to pochodziło z natężonego przypominania sobie rzeczy już ułożonej, czy z wolnego jęj układania, czy nareszcie z trudności wyrażania się w obcym języku bez poprzedniego może przygotowania. Mowie jego brakowało odmian głosu, tych od-

cieni w przycisku, które tak silne czynią na słuchaczach wrażenie, przedstawiając prawie widomie myśl żywą, obiegającą w słowach, jakby krew w żyłach. W układzie mów jego nie było ścisłej ciągłości; często przerywał je pośrednimi uwagami, i do raz powiedzianego znowu powracał. Sposób przedstawienia był pojedynczy, bez szumu i kwiecistości. Zwyczajny ludzki rozsądek był główném mów jego znamieniem.

Wzrostu mniej jak średniego, postawy zgrabnej, cery smagławej włoskiej, ocz małych czarnych, przenikliwych. Takim był pierwszy poseł Łańcucki. —

ciału w przyszłości. Ktoś tak silnie krytykuje to
 co się w rzeczywistości przebiegało, powie, że
 nie było w tym niczego, co mogło być
 dla niego. W obliczu tego, że nie było
 niczego, co mogło być dla niego, to
 nie było niczego, co mogło być dla niego.
 W obliczu tego, że nie było niczego, co
 mogło być dla niego, to nie było niczego,
 co mogło być dla niego. W obliczu tego,
 że nie było niczego, co mogło być dla
 niego, to nie było niczego, co mogło być
 dla niego. W obliczu tego, że nie było
 niczego, co mogło być dla niego, to nie
 było niczego, co mogło być dla niego.

FRANCISZEK STADION,

Posel Rawski.

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

POST OFFICE



osłów polskiej części państwa Rakuzkiego obwiniano o nieżyczliwość dla rządu, a przecież jeden z nich miał zostać ministrem spraw wewnętrznych. Był to Franciszek Stadion, poseł Rawski. Dziwnym bo też sposobem dostał się on do tego poselstwa, przez wyborców nie znających go nawet z nazwiska. Rewolucya spłodziła sejm ustawodawczy, a Stadion spłodził Ruteńców, więc płazy te zawdzięczając mu ojcostwo, mataczyli, aby go wsadzić do sejmu. Z metropolii Lwowskiej, z tego płodnego nasienika nowych Stadionowskich Austryaków, wyszły polecenia do księży ruskich, a oni namawiali włościan, aby wybierali najstarszego kanonika, najpierwszego cesarskiego ministra. Objasnienia takie działały na wyobraźność prostaków. Wielu z wyborców przychodziło już z gotowemi popisanemi kartkami, inni żądali od wydziału wyborowego, aby im wpisać na kartki Stadnika,

a pytani, czyliby rozumieli pod tym Stadiona? odpowiadali: »Naj bude.« zatém i było.

Posłom polskim zarzucano ducha sprzeczności, chęci burzenia; zarzut ten spotyka sprawiedliwie tylko Stadiona i tych, co zgadzali się z nim w głosowaniach. Bo kiedy inni chcieli szczerze rewolucję dokończyć, jój uzyskania utwierdzić i zachować, zatém stawiać, to Stadion chciał rewolucji pokonać i zaprzecć, jój zdobycze z kó-
rzeniem wypruć i zatracić, a zatém burzyć. Ale nie jego w tém wino. Jest to kalectwo moralne, przypadkowe. Nie można kuternogę skarżyć o niezgrabność, ale niechże i on sam nie żąda być skoczkiem. Choć z drugiej strony mało kto umie ocenić się i użyć sprawiedliwie. Gdyby był sposób odjęcia ludziom przesadzonego rozumienia o sobie, zarozumiałości i odsłonięcia im ich treści istotnej, mielibyśmy zapewne mniej waryatów, ale może więcej samobójców. Stadiona obskurantyzm, jego pojęcia służalcze są niewinne. On w nich wychował się i wzrósł, więc w nie wierzy jak inny w postęp i wolność. Cierpiał dla nich i jeszcze może cierpieć będzie. Wszakże i szeregi rabów moskiewskich giną w celu utrzymania knuta tak ochoczo, jak człowiek oświecony za wolność. Nie tylko wiara

w jednego Boga, nie tylko prawda, ale i baśnie miały swoich męczenników. Co winien osieł, że woli oset jak torty? Jeść będzie gnój własny, zdechnie, a tortu nie ruszy. Męczennik idei! nie pojmuje życia bez chwastu.

Zdarzają się autorowie, dla których wolność druku prawdziwą jest klęską, bo im ujmuje więtości. W ich pismach pod cenzurą drukowanych, przebijają się tu i owdzie, jakby za mgłą, promienie zakazanej wolności; to im dodaje uroku. Czytelnik uzupełnia w sobie ich napomknienia, i wyrabia przesadzone mniemanie, jakiby to był pisarz, gdyby nie cenzura. Tymczasem znoszą cenzurę, a myśl uwolniona z kajdan nie ulatuje wyżej jak przedtém; bo wewnętrzna siła jój rzutności nie wystarcza, aby ją wynieść za obręby, w jakich utrzymywały dawniej pęta cenzorskie. Tak ptak z odcięciem skrzydłem rozbija się zuchwale o drwiane pręty swój klatki, myślałbyś, że uleci w obłoki; a wypuść go, dopiero przekonasz się, że latać nie może. Oto jest dusza Stadiona. Klatka Meternichowska była dla niej za ciasna, zawadzała prętem nie jednym. Więc rozchodził się odgłos, że Stadion jest wolnomyślny. Lecz rozwalono klatkę, a ów się opamiętać nie może, napływ świeżego powietrza odurza go,

przestrzeń nieograniczona miesza mu zmysły, lęka się, aby w niej nie zginąć, obmyśla tamy; radby pozostał w bezpiecznych obrębach klatki, nie pojmuje wolności, tylko pod postacią więzienia przestrzenniejszego cokolwiek jak Meternichowskie. Wolność, to trunek dla niego za silny, znieść go nie zdolny. — Jego wychowanie, jego nauki, jego wyobrażenia, jego doświadczenia, cały jego organizm przeciwia się temu. —

Kiedy Stadion jako przedmarcowy gubernator we Lwowie pozwolił w miejscu publiczném czytać Grenzboteną, na scenie przedstawiać Barbarę Radziwiłłównę, a na głowach nosić czapki rogate. Kiedy nadto zaprosił na obiad rabina, a uliczników wytlukujących okna za taniec nie kazał ścigać ogniem i mieczem, to cała policya patrzyła z podejrzeniem, oczekując chwili, kiedy się wciągnie do spisku i do buntowników przystanie. Co byto był za demagog! myślano, gdyby nie krępowwały stosunki. A on tymczasem spełnił już całą miarę swoich pojęć o wolności. Potrzeba ciężkiej niewoli, ażeby Stadion mógł być liberalnym. Jak błądy kaganiec dobry, aby w ciemnicy głowy nie rozbić, skoro jaśniejsze światło zabłyśnie, nie tylko do widzenia nie pomaga, ale nadto sam niewidomym się staje: tak Stadiona

liberalność znikła obok prawdziwej wolności; obok oświaty czasu naszego. Przeto Stadion nie mógł znosić prawdziwej wolności i oświaty jako żywiołów odejmujących mu całą wartość, obracających go w nicość. Gdyby nie te żywioły, uchodziłby do tych czas za wolnomyslnego i żalowanoby zawsze, że ma ręce związane. Mimo wolności tak szczupłej, jak ją Stadion rozumie, nie ma jój za potrzebę istoty ludzkiej, ludzkiego społeczeństwa; tylko za polityczny czynnik do dopinania rządowych zamiarów. Stadion rzucał narodom po kawałku swojej wolności, jak złodziej, kiedy rzuca chleb psom, aby nie czekały. Ludzie za czapki rogate prześladowani, więzieni i katowani, sądzeni się w posiadaniu najgłówniejszych praw ludzkości, kiedy im czapki rogate nosić pozwolono. Stadiona uprawa umysłowa, jego pojęcia, pochodzą z tych błogich czasów, kiedy drobnym nakładem można było być liberalnym, a sztuka rządzenia zasadzała się tylko na znajomości maszyny i na popędzaniu jój kół i dźwigni siłą fizyczną w ustawiczny jednostajny ruch. Kto w ten czas umiał siły moralnej używać, chociażby w drobnych tylko okruszynach i za jój pomocą ułatwiał pewne obiegi maszyny; ten uchodził już za geniusz administracyjny, za

człowieka przyszłości. Trzymano go w odwodzie do chwili, aż który naród gnany siłą wzrostu, nie zdoła więcej znosić dawniejszego ścienienia i zapragnie odmian. Za takiego polityka i reformatora miał rząd Metternichowski Franciszka Stadiona. Więc posłał go w roku 1847. do Lwowa, aby osładzał Polakom niewolę i goił rany z roku 1846. Nowy majster zabrał się do dzieła z tém zarożumiałém uprzedzeniem, że w ciągu kilku miesięcy wszystkich uraduje i zadowolni. Wolnomyślność jego w administracyi zasadzała się na tém, że cenzurze odrobinę węzłów popuścił; że policyę, która do tych czas stała na przodku, ukrył; tak jak się przy domach wiejskich zasłania budynkami i drzewami miejsca nieprzyjemne, ale wygodne; że nareszcie, co było ulubionym jego pomysłem, spraszał na pogadanki polityczne, przybierał poufników, (Vertrauensmänner) tworzył rady przyboczne i wpuszczał w ten sposób do rządu niejako od niechcenia ni-byto opinię publiczną, która do tych czas była całkiem nie uważana, lub odtrącona z pogardą. Cały ten orszak (również jak gazeta rządowa zaprowadzona przez Stadiona we Lwowie) nie był w tym celu, aby wyrozumiewać potrzeby i życzenia kraju, tylko aby zdanie narodu przerabiać i zyskiwać dla gubernatora i rządu.

Rzeczy ważnych nie udzielał Stadion swoim przybocznikom, w rzeczach drobnych szedł nie raz za ich radą, najczęściej zaś skłaniał ich przedstawieniami i trudnościami do swoich widoków. Tak jednoczył się niby rząd z wolą narodu. Najwyszukańsza dowolność, bo z dowolnie przybraném zastępstwem niby narodowém, rzeczywiście zaś narzuconém narodowi na organ i jeszcze nie mającém tylko głos doradczy w przedmiotach najmniejszej wagi; taki pokórcz rządu zaledwo ogonkiem przypominający rasę reprezentacyjną, był szczytem liberalności Stadiona. Ale Polacy w pojęciach swoich o wiele go prześcigali. Nie pomagał Jezuityzm polityczny, nie pomagali zausznicy, przybocznicy i poufnicy, rozkrzykujący wszędzie, że Stadion ma chęci najlepsze, że gubernator, który gości swoich prosi siedzieć, a szlachtę cygarami przyjmuje, jest wyśmienitą rękojmią pomyślnej przyszłości. Naród miał zdrowsze widzenie. Oceniał on sprawiedliwie tych chwalców jako samolubów, smakujących dosyć w rządzie austriackim, łatwych do zapomnienia krwawych blizn 1846. roku, pragnących piec własną pieczeń, i pielęgnować spokojnie swoje historyczne przywłaszczenia pod opieką silnego rządu. Więc wpływ takiego od

sprawy narodowej odstępstwa, jakakolwiek przywdziewało larwę, został bez skutku; Stadion nie zadowolniał i oddał w odpowiedzi na memorandum polskie tę narodowi naszemu sprawiedliwość, że nie mógł go przekabacić, że spółnicy jego byli w mniejszości. »Dass sie die Wenigern sind, ist nicht ihre Schuld, und sie müssen sich in das Unabweisliche fügen und die Schuld der Mehreren mitbüßen.*) Owoż wynikłość głowy przewrotnej! Chciała ona tych zyskanych sobie na prędcie Wenigern uważać koniecznie za wyraz narodu, a die Mehreren za frakcyę niespokojną. O kilkadziesiąt zaś wierszy niżej sprzeciwiając się temu co utrzymywała dopiero, twierdzi, że spokój zachowany został: Dank dem Vertrauen, dass die Millionen Unterthanen in die Regierung setzen.

Rewolucya marcowa Wiedeńska otworzyła Stadionowi pole popisania się z politycznym sprytem i z biegłością w rządzeniu. Bo, aby władać kiedy wszyscy niewolniczo słuchają, na to nie trzeba rozumu ani umiejętności. Na dworze Wiedeńskim obzieran o się zaraz za Stadionem, jako za naznaczonym człowiekiem przyszłości, człowiekiem reform. Tym czasem ten wielki człowiek przeląkł się uzyskać rewolucyi Wiedeń-

*) Gazeta Wiedeńska z 3go Czerwca 1848. Nr. 151. stron. 732.

skiej, miał je za tak przesadzone i zbyteczne, iż groziły państwu upadkiem; nie mieściło mu się w głowie, jakby rządzić można narodem prawdziwą posiadającym wolność. Według liberalności jego, byt Austrii zależał od tego, aby rząd był dowolnym. Niewola była warunkiem, pod którym on podejmował się utrzymać spokój i porządek. Więc widział dobrze, iż nie ma jeszcze w Wiedniu co robić, zachowywał się na czasy lepsze, kiedy można będzie wszystko ściągnąć i skarlec na skalę jego okruszynowych pojęć. Naród gniesiony przemocą, wyrabia w wzroście na oko drobnym duszę potężną, która go po uchyleniu ucisku wynosi w jednej chwili jakby sprężyna w wzrost nadzwyczajny. Tak pierwszy krok rewolucyi Wiedeńskiej przerosł o dużo oświatę i liberalność Stadioną, a człowiek posadzony przez rząd Metternichowski o postępowość, nawet o utopię, trzymany do zaspokojenia rewolucyjnych zachceń, w razie najgorszym, okazał się naraz człowiekiem dalekiej przeszłości, człowiekiem wstecznym. Stadion zmiarkował dobrze, że w Wiedniu na niego się nie przydał, miał nawet powiedzieć, iż nie chce być ministrem na dwa dni. Został zatem we Lwowie, wysiłając całą przebiegłość i przewrotność, aby przynaj-

mniej polską część państwa Austriackiego zachować w tych ramach, w jakie spodziewał się później ująć całe państwo. Słowem, aby województwa przezwane przez Austryaków Galicyą, utrzymać w niemożności opierania się reakcyi, skoro ta (w co nie wątpił) głowę podniesie. Na pierwszą wiadomość zdobyczy rewolucyjnych w Wiedniu, zapragnął także lud Lwowski ich uczestnictwa. Z duszyby Stadion sprzeciwił się uzbrojeniu akademii i tworzeniu gwardyi narodowej; ale natarczywość domagań zaraz w pierwszych niepewnych chwilach, ale przykład Wiedeński nie dały mu czasu do namysłu, nie dopuściły opamiętać się. Więc rozdawał broń własnymi rękami z straszliwém skapstwem, targując się prawie o każdą sztukę. Te uzbrojone oddziały chciał zaraz skrępować przynajmniej siłą moralną, przysięgą. Aby zaś przysięgę przyjęli, brzmiała na wierność: Ferdynandowi pierwszemu, królowi polskiemu.

Miał Stadion jedną własność wspólną ze wszystkimi politykami i dyplomatami swojego czasu, to jest bojaźliwość. Nagłość rewolucyjnych postępów przerażała go, odbierała mu przytomność. Napełnił przysionki swoje zbrojnym żołnierzem, we śnie straszyły go zwycięztwa ludu, rewolu-

cyjne widma; po nocach zrywał się z łóżka jak zbrodzień. Wśród takich pasowań z upiorami, rozsnuwał we dnie jak pajak swoje polityczne matnie. Przy tych robotach okazał, czém się od Metternicha różnił. Obadwa jeden cel mieli, ale osiągnęli go na różnych drogach. I Stadion chciał zachować absolutyzm, ale czuł obecność czasu, w którym potrzeba ten absolutyzm ochraniać innymi środkami, jak samą siłą fizyczną, samém przeciwieństwem. Metternich był w polityce starowiercą, aleopatą; Stadion homeopatą. Zasadą jego czynności było: *similia similibus*, to jest: niszczyć dozwalając. Przeciwi woli narodu, którą dowolnie ignorował, stawiał opinię pojedynczych, którą za wolę narodu udawał; przeciw adressom adressa, przeciw stowarzyszeniom stowarzyszenia, przeciw narodowościom narodowości. W siłach przeznaczonych pokonywać wspólnie absolutyzm, wypatrywał i podżegał różnicę, aby się niszczyły wzajemnie. Jego ulubioną ideą, jego, rzecz można, fiksacją, były poufnictwa i rady przyboczne, nibyto jakowaś narodowa reprezentacja, jakiś udział narodu w rządzie, rzeczywiście zaś korupcja. Przez komitet gwardyi narodowej, który według własnego upodobania wybrał i ustawicznie straszył uzbrojonym proletaryatem,

napaścią na własność, kommunizmem, jakiemu rząd nie będzie w stanie zapobiedz, opóźniał i utrudniał organizacją gwardyi. Wolność druku znowu chciał zwichnąć przez samychże literatów Lwowskich. Wystawiał im niebezpieczeństwa z obalamucenia opinii i podżegań druku wyniknąć mogące, i pragnął, aby przystali na zatrzymanie cenzury, tak właśnie, jakby od zмовy gubernatora z kilkunastu piszącymi, zależały uzyskania ludu, w których każdy obywatel państwa wolny miał udział. Przeciw stowarzyszeniom patryotów, w których skupiały się i wyrażały narodowe życzenia i potrzeby, zwołał na prędcę radę przyboczną złożoną w większej części z arystokratycznych thórzów, w mniejszej części z ludzi prawych, ale nieroztropnych, których przez to wciągnięcie w brudną matnię skałał i skompromitował. Cały nareszcie dawniejszy sejm postulatowy, modernizując go przez przybranie obszerniejszego trochę zastępstwa, jak było zastępstwo stanów, chciał osadzić w swoim pomieszkaniu, zmienić w swoją radę przyboczną, uczynić narzędziem swojej przewrotności. Lecz tą razą zdrowy rozsądek i uczciwość zniweczyły jego zabiegi. A jakkolwiek znalazło się kilka głosów przemawiających za takim sejmem, sejm jednak dawny uznał

się sam za niewłaściwy, za nieodpowiedni prze-
stronności swobód uzyskanych przez rewolucye,
i ogłosił to zdanie swoje publicznie.

Adres z 18. Marca wydawał się Stadionowi
znośnym. Wyrażał on tylko życzenia ulepszeń
i wolności, o które można się było jeszcze po-
targować, które można było pozorowo nadać,
niszcząc ich wartość wewnętrzną, przez różne
obostrzenia i dodatki, jak to się stało n. p. z wol-
nością druku i stowarzyszeń w moc praw wy-
szłych z ministeryum Szwarценberg-Stadion. Sta-
dion nie sprzeciwiał się deputacyi polskiej, jadą-
cej w marcu do Wiednia, bo myślał, że jedzie
w celu popierania adresu z 18. tegoż miesiąca.
Dla tego też nie uczynił kroków stósownych, aby
na dworze nie została uznana i przyjęta. Skoro
zaś ujrzał adres wręczony cesarzowi z 6. kwie-
tnia, dopiero zapienił się i rozżarł. Zarozumiałość
jego była tknięta do żywego, bo kiedy myślał,
że w pole wywodzi, sam w pole wywiedzio-
nym został i zbałamucił jeszcze ministeryum.

Szarpany namiętnościami, nie mógł się dłużej
utrzymać w roli obłudnej, stracił polityczną swoją
równowagę i wyjawiał brzydkie strony charakteru
swojego: nienawiść, mściwość i zawziętość. W ta-

kich uniesieniach tracił nie raz zimną rozwagę i poplątał się w sprzeczności. —

Wyłożyli to dokładnie nawet niemieccy pisarze, że biurokracya austriacka w ogólności jest szarańczą polityczną, plagą straszliwszą od egipskiego robactwa. Pijawka ta, przyłożona w kraju zabranym umyślnie do serca narodowego, aby wysysała wszystkie siły żywotne, karmiona ustawicznemi łzami i krwią, stała się jeszcze zjadliwszą, nabrała jeszcze okrutniejszych zachceń. Adres z 6. Kwietnia wypowiedział otwarcie w obec Europy, w obliczu cesarza, że urzędnicy austriaccy w Galicyi byli najzawziętymi prześladowcami i wrogami kraju tego. Tylko ludzie podli, znikczemnieni przez niewolę, oślepieni przez próżność, zaznajamiali się z nimi, wdawali a nawet zaprzyjaźniali, szukając w tém korzyści lub odznaczeń. Cnotliwi i rozsądni obywatele pogardzali nimi i unikali ich jak dżumy. Wstręt ten powiększył się jeszcze w roku 1846. odkąd stało się prawdą dziejową, że urzędnicy nie tylko rzeź organizowali, nie tylko podmawiali do niej, ale nawet w niektórych miejscach sami osobiście przewodzili bandom rozbijającym. Nie dziw więc, iż Stadion przyjechawszy do kraju polskiego przezwane go przez Austryaków Galicyą, zastał po-

wszechne przeciw urzędnikom oburzenie. Nawet zauszniczy jego, owi przybrani doradźcy, owi improvizowani zastępcy narodu, pozwalali sobie półgębkowych przedstawień i skarg. Trzeba było koniecznie coś w tym względzie przedsięwziąć, lub udać, że się przedsięwzięło, aby choć w części uśmierzyć narzekania krajowców, czego Stadion spodziewał się dopiąć z pewnością. Tymczasem Stadion całą istotą swoją wcielonym i jak najzawziętym był biurokratą. Musiałby samego siebie potępić, gdyby potępił owego skośniałego ducha dychającego narzędziowo w rozgałęzieniu polipowém urzędniczych zależności, pokrewieństw, przyjaźni, wzajemności i t. d. Stadion za nadto się kochał, a za mało znał się, aby mógł to uczynić. Umysł jego miał pewien rodzaj tęgości, nazywano to zwykle wytrwałością albo uporem. Nie było to ani jedno ani drugie, tylko jednostajność maszyny, sztywność mechaniczna, brak gibkości w zastósowaniu się do potrzeb czasu, do okoliczności. Na świat, na ludzkość, na historię, na politykę zapatrywał się zawsze jednakowém okiem, zawsze przez stare okulary przesądów zeszłego wieku, w których był wychowany. Wypadki czasowe i doświadczenia nie czyniły go na włos innym. Co wychodziło z obrę-

bów jego biurokratycznych pojęć, to nie mogło być postępem, to było nadużyciem, anarchią. Postęp ludzkości, wzrost wiedzy, odmienność czasowych wymagań i potrzeb, to najstraszniejsze ciosy dla jego rozumu, dla jego sławy, dla jego liberalności.

Z takim usposobieniem, niepodobieństwem było, ocenić bezstronnie biurokratyczność stanowiącą całą treść jego duszy, zrośniętą z jego kośćcami. Zyzowaty nie może widzieć, tylko ukośnić. Zachodził więc Stadion w głowę, dociekając przyczyny, dla której tak bardzo przeciw biurokracyi powstają. I zdawało mu się nareszcie, że zrobił to ważne odkrycie. Uważał najprzód, że biurokracya Galicyjska co do formy była szorstką i gburowatą. Składała się po większej części z ludzi bez oglady, ugrzecznienia i wychowania, którzy zmarnowawszy wiele trudu i czasu na nauce przepisanych twardych jak róg niedorzeczności, przywiązywali oczywiście nadzwyczajną wagę do swojego głupstwa, a nadymani miechem takowej zarozumiałości, stawali się na oko śmieszni, w obcowaniu niecznośni. Swoję zdatność lub wprawność do pewnych biurowych zatrudnień brali za rozum, a chcąc być oczywiście zawsze rozumni, tchnęli zawsze od bióra jak ryba

zawsze od głowy. Im kto jest głupszy, tém za mędrszego się trzyma, zwłaszcza jeżeli głupstwa swojego długo się uczył. Więc biurokraci Galicyjscy mieli się za bardzo mądrych i na chwilę zapomnieć tego nie mogli.

Powtóre sądził Stadion, że biurokracya Galicyjska co do ducha, nie dość była biurokratyczną. W zależności nie dość zależną, w usilnościach nie dość usilną, w cierpliwości nie dość cierpliwą, w zawziętości nie dość zawziętą, w pilności nie dość pilną, a nawet za powolną w obracaniu wielkiego koła, które do ruchu swojego potrzebowało tysiąca formułek i paragrafów. Więc upatrzywszy te dwie wady, zajął się gorliwie ich usunięciem. Ciekawe są polecenia jego z owego czasu (1847.) w których okrzesuje i naucza urzędownie grzeczności nawet kreishauptmanów. Ledwo że nie mówi, iż kłaniając się, trzeba nogę troszeczkę posunąć, a głowę troszeczkę pochylić. Tak piętego roku Hedziiry nauczał wielki prorok swoich wyznawców, że porządniej jeść widelcem jak palcami, a kto by chciał być konserwatystą, niech się przynajmniej po jedzeniu umyje. Czytając takie obyczajowe rozporządzenia, szlachta polska przyzwyczajona do gburowatości austriackich urzędników, poczyniała wierzyć, że Stadion

to drugi Atylla, to bicz boży na biurokracyą. Cieszyło ją, iż przecież raz rządca kraju pomyślał o uldze na ranę, która dolegała najbardziej. Myślała sobie, jak ich nauczy kłaniać się, to będzie powoli uczył i ludzkości. Więc Stadion zadowolniony swojemi odkryciami i powodzeniem, wydał 6. Października 1847. roku zwyczajem swoim w formie listu okólnik: An alle Kreisvorsteher, w którym między innemi powiada: »Weise und gerechte sind die Absichten der Regierung, ob die politischen Behörden Galiziens dieselben begriffen, ihr Handel darnach eingerichtet haben, darüber möge sich jeder Beamte redlich fragen, und ist er im Zweifel, so schaue er auf das Land und seinen Jammer bei dem fruchtbarsten Boden, bei der Empfänglichkeit des Polen (o Rutenach jeszcze nie wiedział) für das Gute, wenn man es in ihm zu wecken versteht, er vergleiche das verschriebene Papier mit dem wirklich zum Besten des Landes geleisteten, er betrachte nur die Zahl der noch unerledigten seit einer Jahrenreihe unerledigt gelassenen Kommissionsgegenstände, und wenn vom lächerlichen Beamtendünkel sein Ehrgefühl nicht erstickt ist, wenn er die Aufgabe des Oesterreichischen Beamten richtig aufzufassen vermag, wird er ein Geständniss ablegen müssen,

das über das bisherige Wirken der politischen Behörden im Lande den Stab bricht.

Galizien wird materiell und moralisch einer besseren Zukunft entgegensehen, wenn die Kreisämter ihre Wichtigkeit und Verdienstlichkeit nicht mehr nach dem Papier verbrauchen, sondern nach Maassgabe der geübten Gerechtigkeit, der geforderten Wohlfahrt der Interessen berechnen, wenn sie nicht mehr auf die Zahl der erledigten Akten, sondern auf die Grösse des bewirkten Guten sehen werden.« A w kilka miesięcy później w odpowiedzi na memorandum polskie (Gazeta Wiedeńska z 3. Czerwca 1848. roku Nr. 154.) nie może znaleźć dość pochwał dla Galicyjskich urzędników, utrzymuje, że zasłużyli się krajowi, że skargi przeciw nim są złośliwością i potwarzą. »Die Verhältnisse Galiziens mögen sich gestalten wie sie wollen, der Landmann wird stets mit Dank sich seiner Wohlthäter — der Kreisämter — erinnern und es wird die Zeit kommen, wo man ob der redlichen, der wahrhaft humanen Bestrebungen der Oesterreichischen Behörden, die Fehlgriiffe der einzelnen Beamten vergessen und eine Regierung preisen wird, die die Zwecke der Humanität verfolgte, ohne sich durch die Tücke und die Verleumdungen ihrer Feinde irre machen zu

lassen.« Pisał to 13go Maja 1848. r. kiedy polityka jego inny przybierała kierunek. Wywieziony jak wspomniałem w pole przez to, że deputacya polska nie ten podała adres cesarzowi, który on jój podsuwał, miotał się jak wąż rażony, pragnął zemsty na Polakach za swoją nieprzezorność i pluł na oślep, co mu tylko zjadliwa poddawała namiętność. To utrzymywał, jak przytoczyłem wyżej, że większość w Galicyi jest zła i że mniejszość za nią pokutować będzie, to znowu w tém samém piśmie, że: »fünf Millionen Galizische Unterthanen von keiner andern als der Oesterreichischen Regierung etwas wissen wollen.« Znać gust swoich przyboczników, brał za wolę narodu. To utrzymywał, że o deputacyi polskiej do Wiednia nie wiedział; to znowu w témże samém piśmie, że ta deputacya przed odjazdem była u niego z oświadczeniem, że jedzie w celu popierania adresu z 18. Marca i t. d.

Z tych oczywistych sprzeczności mógł już uważny badacz wnosić na ów czas, że Stadion albo nie ma wyrozumowanych zasad i daje się za nos wodzić namiętnościom pod wrażeniami chwil, albo, że siła jego myślenia rozchwiewa się, że jój nie dopisuje jakowaś klepka, że nie dostaje ciąglej przytomności.

Tymczasem złość złością, a co się stało, stało się: adres z 6. Kwietnia był cesarzowi oddany, był wielkiej politycznej ważności. Aby go osłabić, krzątał się Stadion we Lwowie nad ułożeniem innego adresu, nad wysłaniem innéj deputacyi. W tym zamiśle nie dopisują mu nawet jego przybrani pochlebcy. Kilku mieszczan Lwowskich sami Niemcy, dają się z razu namówić, ale w dni kilka odstępują i usuwają się. Podburzanie Niemców i Żydów przeciw Polakom nie dało się rozdmuchać w Galicyi, jak w księstwie Poznańskiem. Dopiero przypomina sobie Stadion, że prawie połowa mieszkańców téj części Polski, która po rozbiorze dostała się Austrii, jest greckiego obrządku. W téj chwili powstaje w nim myśl polityczna, genialna, mająca spłodzić nie tylko nowy adres, ale nawet nową narodowość. Mówiono, a nawet pisano po gazetach, obiecując złożyć urzędowe dowody, że do tego Stadionowskiego pòłogu, przyczynił się Ażenor Gołuchowski, teraźniejszy naczelnik we Lwowie. O ile w tém prawdy, nie wiem, to pewna, że go Stadion bardzo polubił i protekcyą swoją wynosił.

Wiadomo, że Polska powstawszy z jednoplemiennego słowiańskiego szczepu, składała się z różnych onegoż pokoleń, rozsianych na szerokiej

przestrzeni i zachowujących swoje rodowe i miejscowe nazwiska, swoje właściwe odmienności w mowie, w życiu domowém i zwyczajach. Wszystkie te plemiona spojone wspólnością pochodzenia i interesów, wyrobiły się przez wspólną usilność na zewnątrz w jedno potężne państwo nazwane Polską, a na wewnątrz w jedną potężną duszę, w jeden język naukowy nazwany od państwa, polskim językiem. Religia chrześcijańska dostawała się do Słowian po odszczepieństwie Fociusza. A jak rozległe ziemie przez Słowian osiadłe, sięgały na zachód siedzib niemieckich, a na wschód granic państwa Carogrodzkiego, tak też i chrześcijaństwo temi dwoma przybywając drogami, przybywał z odmiennosciami to łacińskiego to greckiego obrządku. Oczywiście, iż między ludem zachodnim upowszechniał się bardziej obrządek łaciński, a między ludem wschodnim obrządek grecki. W ten sposób pokolenie słowiańskie ruskiém nazwane, przyjęło obrządek grecki, a chociaż wielu z tego pokolenia przechodziło w ciągu czasów do łacińskiego kościoła; jednakowoż obrządek grecki nazywano w ich powiatach ruskim obrządkiem, tak iż wreszcie nazwisko Rusina nie oznaczało różnicy rodowej, tylko obrządkową, czyli jak dawniej sądzono, religijną.

Mnożące się odszczepieństwa Husytów, Arianów, Lutrów, Helwetów, Kalwinów i t. d., znachodziły w Polsce licznych zwolenników pomiędzy wyznawcami łacinskiego i greckiego obrządku. Ci różnowiercy jakkolwiek sprzecali się w dysputach ustnych i pisemnych o lepszość wiar swoich, tak jak dziś n. p. sprzecają się filozofowie o lepszość swoich systemów; żyli jednakowoż w jak najściślejszej politycznej jedności, używali zarówno wszystkich praw, swobód i przywilei obywatelskich, ponosili zarówno wszystkie obywatelskie ciężary, przyczyniali się wspólnymi siłami również do utrzymania potęgi i całości swojego państwa polskiego, jak też do rozszerzania w niem oświaty, do udoskonalenia języka. Dopiero Jezuici wprowadzili do Polski prześladowania religijne i pogańską zasadę wykluczalności. Aby w państwie chrześcijańskim wszczepić coś tak w brew przeciwnego Chrystusowej nauce i zdrowemu rozumowi potrzeba było ovladnąć wychowaniem publiczném i domowém, Chrześcianizm skazić, ciemnotę rozszerzyć. Jezuici podjęli się tego i dokazali w imie łacinskiego katolicyzmu. Wielką zaiste niesprawiedliwością i bezbożnością było gnębienie i wytępianie Aryjanów, Husytów, Lutrów i tym podobnych różnowierców; liczba ich

jednak stosunkowo do gnębiącego rzymskiego pogaństwa była nie wielką, musieli uleść. Ale prześladowanie obrządku greckiego wyznawców, których liczba stanowiła przeszło połowę ludności polskiej, było nie tylko niesprawiedliwością i bezbożnością, ale zarazem śmiertelnym politycznym grzechem, który głównie sprawił upadek naszej ojczyzny. Nie podlega najmniejszej wątpliwości, że od czasu wzrostu Jezuitów w Polsce, wyznawcy obrządku greckiego byli przez obrządek łacinski w jak najohydniejszy sposób napastowani, uciśkani, upośledzani, bezczeszczeni i krzywdzeni, a to tém bardziej, im większy stawiali opór nieprzebiegalnemu duchowi nawracania, im silniej obstawali za sprawiedliwością w wierze swych ojców. — Niektórzy z nich, po większej części szlachta dbając jak zwykle o wygodne życie, o łaskę u dworu, o godności i zaszczyty, przechodzili do obrządku łacinskiego, kręcąc w ten sposób bicz na własną skórę: bo lud, wśród którego żyli w jądrze swém czerstwy i nieskażony nie dał się ani nadziejami uwieść, ani prześladowaniami złamać; cierpiał pogwałcenie i wzgardę, wyrabiając w sobie żal i zemstę. Nie rozróżniał on pobudek wyznania, nie wchodził w teologiczno-fanatycznego ducha czasu, ale uważał gnę-

bicieli za obcy, wrogi mu naród. Z takich zarodków powstały wojny domowe, w ciągu których dopiero wyrobiła się z całą nienawiścią różnica w nazwach Rusinów i Lachów. Pod Rusinami rozumiano obrządek prześladowany grecki, pod Lachami obrządek prześladowający, łacinski; więc oczewiście i tych, którzy do niego przeszli bez względu na ich ród. Tak stanęły na przeciw sobie dwa chrześcijańskie obrządki z bronią w ręku i z nienawiścią w sercu, jakby dwa nieprzyjacielskie narody. Obrządek łacinski miał za sobą powagę majestatu, prawność królów stanowiącą dotychczas podstawę ich zwierzchnictwa; (*souverenité*) zatem przezywał przeciwników buntownikami, insurgentami, burzycielami i t. p. Obrządek zaś grecki nie miał za sobą innego prawa, jak słusność, innéj siły, jak powstanie. Jakikolwiek były tych wojen domowych chwilowe powodzenia, zostały jednak zarody najzgubniejszych następstw dla stron obudwóch, została głęboka rana rozdzierająca jedność narodową.

Rząd Austriacki objąwszy część Polski, w której znajdowały się obadwa obrządki w równych prawie częściach, dowodził tém tolerancyi swojej, że na obadwa wtłoczył jednakowe jarzmo. Zakazał wprawdzie pogardliwego przezywania

księży ruskich popami, ale pod względem materialnym zostawił ich w położeniu, w jakim zastał, nie zrównał ich dochodów z dochodami duchowieństwa łacińskiego, nie uśmierzył trwającej z tego względu zawiści, nie wpływał w ciąg długiego pokoju niczem na zagojenie téj dawnéj rany. Dopiero Stadion naciśnięty niby wyższymi politycznymi względami, wpadł na pomysł szatański, aby tę ranę na nowo rozdrażnić, a wtrysnąwszy w nią jad swoich myśli, zapłodnić gniazdo padalców. Jak każde wyznanie ma przedstawicieli swoich w duchowieństwie, tak wyobraźicielami obrządku greckiego było jego duchowieństwo. Więc Stadion udaje się do konsystorza, powiada mu: najpierwszém uzyskaniem rewolucyi jest równe uprawnienie narodowości; wola narodów ma być spełniana na przyszłość. Wy jesteście podbitym i przez Polaków uciskany narodem, co was obchodzi Polska? Myślcie o sobie, bo teraz pora. Prawa, o jakie upomina się na mocy narodowości polska deputacya w Wiedniu, wam się wyłącznie należą. Jeżeli urzędy i godności mają być nadal udzielane tylko krajowcom, to wy posiadacie je. Jeżeli w sprawach publicznych i uczelniach ma być język narodowy, to ruteński nim będzie. Ta ziemia jest

waszą ziemią, wy nie chcecie oderwania się od Austrii, bo sami utrzymaćbyście się nie mogli; Polacy gnębiliby Was, jak dawniej, a Austriya przeciwnie stawszy się państwem wolném, zapewnia wam swobody, jakie się wam słuszenie należą. Ale upominajcie się, pokażcie, że jesteście, sparaliżujcie czynności Polaków, podajcie osobny wasz adres, załóżcie waszą radę narodową, nakażcie księżom, aby w tym duchu oświecali lud, aby mu przypominali dawny ucisk Polaków, którzy tu tylko są przybyszami. Ja naczelnik rządu przeszkadzać wam nie będę, bo teraz jest wolność i konstytucya. Owszem chcę was wspierać, za wami u tronu przemawiać, i obmyśleć środki na założenie pisma czasowego w waszym języku. Tego rodzaju konferencye odbywał Stadion z Jachimowiczem, z kąd powracającego widywano go późno wieczorem. Niektórzy duchowni wyznania greckiego ośmieleni opieką rządu, znęcani obietnicami i obalamuceni nareszcie, dali się wciągnąć do tego haniebnego spisku. Adres nowy ułożony przez radcę gubeanialnego, został wysłany natychmiast ze Stadionowskim zaleceniem. Utworzono radę ruteńską w opozycji do rady narodowej, wydawano pismo ruteńskie Zoria halicka w opozycji do pism narodo-

wych, i przedsiębrano podburzania pomiędzy wyznawcami greckiego obrządku, przerabiając ich gwałtem na Ruteńców. Tak to się robią teraz narody!

W ten sposób poczęło się Stadionowskie arcydzieło, nowa narodowość ruteńska mająca różnić się od polskiej, jak utrzymywała, pochodzeniem, językiem, religią, dziejami, zwyczajami i obyczajami. Mój Boże! Co do Ruteńców różnimy się bardzo, bo tak, jak się różnią cnotliwi od występnych, prawi od nieczemnych, zdrowi od zarażonych. Co do Rusinów, różnimy się pochodzeniem, jak Bawarczycy od Sasów, mową, zwyczajami i obyczajami daleko mniej jak gmin szwabski od austriackiego, wyznaniem daleko mniej jak Katolicy od Lutrów; nareszcie od pięciu wieków stanowiliśmy jedną całość polityczną, kiedy jeszcze nie jeden naród rozpadał w osobne rządy i całości; kiedy dziś nawet nie przestają być Niemcy Niemcami, chociaż ich nieszczęście w rozzerwaniu utrzymuje, przeszkadzając skupieniu w jedną narodową potęgę.

Ruteństwo Stadionowskie wywołało spory nawet pomiędzy samemiż wyznawcami greckiego obrządku. Światlejsi z nich i uczciwsi oburzali się na tak haniebnie zastawioną łapkę. Więc

przeciw ruteńskiej radzie što Jurskiej założyli nową radę niby ruską, przeciw ruteńsko-Stadionowskiemu adresowi napisali inny adres, i przesłali go osobną deputacją do Wiednia. Powstało ztąd nareszcie takie zamięszanie, iż chociaż wszyscy przyznawali byt jakowegoś oddzielnego narodu ruskiego, wszelako każdy się pytał, kto jest Rusinem? Narodowość ruską rząd uznawał i obiecywał pielęgnować dla tego właśnie, że jój nie było; tymczasem zbałamuceni krajowcy przyznawali się na wyścigi do rusinizmu i zaprzeczali go sobie na wzajem. I ja Rusin i ja Rusin, tysiączne odzywały się głosy, a każdy miał na to dowody. Nieprawda! nieprawda! wołała rada što Jurska, my tylko Rusini; i miała także dowody. Przyszło do tego, że nie wiedziano, czy pochodzenie, czy stan społeczny, czy obrządek religijny, czy narzecze ludowe, czy sposób myślenia stanowią Rusina. Synowi księdza ruskiego Leonowi Koreckiemu przeciono, że nie Rusin, bo nie umiał ludowego języka, Szumlańskim, że nie Rusini, bo nie byli greckiego obrządku, Michałowi Popielowi, chociaż greckiego obrządku, że nie Rusin, bo nie był księdzem; nareszcie Janowi Dobrzańskiemu, księdzu greckiego obrządku, że nie Rusin, bo nie tak myśli jak Rusini. Najlepszym

dowodem niewątpliwości narodu ruskiego jest to, iż kiedy naród ten miał spotkać rządowe łaski i odznaczenia, powstało w całym kraju zawile i dotąd nie rozstrzygnięte zagadnienie: Kto jest Rusinem? Szaszkiewicz, którego Stadion za narządzie do ruteńskich agitacyj używał, widząc niepodobieństwo rozwiązania tych węzłów gordyjskich, użył Alexandrowego sposobu i osądził, że Rusin jest ten, kto trzyma z rządem, należy do rady što Jurskiej i tego chce, co Stadion. Tak jest, szanowny prałacie! znając siebie mógłś odgadnąć tajemnicę narodu swojego, wszak niewątpliwym jesteś patriotą! Ależ ci, których rozwiązałeś zagadkę, to Ruteńce nie Rusini. Jakżebyście ich dobrze znać nie mieli, kiedyście ich sami zrobili, Stadion, — Jachimowicz, — Szaszkiewicz?

Sprawa ruteńska zajadłe wywołała spory. Zarzucano adresowi 6. Kwietnia, że nie upominał się o prawa i swobody dla Rusinów, że nie obstawiał za narodowością ruską. Zarzut ten był śmieszny i niesłuszny. Do ułożenia adresu z 6. Kwietnia wpływali zarówno wyznawcy łacinskiego jak i greckiego obrządku, nietylko świeccy, ale i wysokich stopni duchownych. Lecz jakżeż mieli ci, którzy się uważali za równych obywa-

teli, za jednakowo uprawnionych, za jednakowo narodowych, wymyślać pomiędzy sobą jakowąś różnicę? Kiedy niebyło różnicy w sercach, jakżeż ją kłaść w nazwiska i opisy? O żydów upominał się adres osobno, bo była to osobna narodowość napływowa, upośledzona przez prawa i przesady krajowe. Ale o Rusinów! Ciemnota dawnych wieków ustała, jej nieszczęśliwe skutki, których wszyscy doświadczyli zarówno, były dostateczną nauką i rękojmią. Nikt już nie mógł obawiać się rozsądnie obrządkowych prześladowań, a inną różnicę nie było. Czemuż wyznawcy greckiego obrządku, z których tylu gniło w jamach Szpilbergu i Kufsteinu za udział w spiskach i w powstaniach w Polsce austriackiej, nie rozróżniali się i nie mówili: patrzcie Polacy, oto i my Rusini łączymy się do sprawy waszej i my za nią cierpiemy? Bo wiedzieli, że cierpią równo jak bratnie dzieci dla jednej matki. Lecz powróćmy do Stadiona. Cesarz uciekłszy z Wiednia do Inzbruku, naglony był przez otaczających go, aby wystąpił otwarcie przeciw rewolucyi i Wiedniowi, jak to się stało później w Póździerniku. Zachodziły jednak wątpliwości, czy nie byłby to krok za pospieszny? czy stosunki by mu sprzyjały? Zawezwano więc Stadiona sta-

nowczo do rady. W takich okolicznościach opuścił Stadion Lwów, zostawując po sobie rozdwojenie moralne w narodzie z dążnością do fizycznego podziału, odszczepieństwo w umysłach, zepsucie w uczuciach, spekulacye na narodowości, zarodek ziemiaństwa i rząd wojskowy pod przełożnictwem generała Hammersteina.

Tymczasem ministeryum Pilersdorf nie życzyło sobie pokonania rewolucyi przemocą, nie życzyło sobie zupełnej reakcyi. Miało nadzieje uorganizowania państwa i wzmocnienia rządu na drodze przez cesarza przyrzeczonej; zwoływało sejm ustawodawczy. Stadion skłonił się do tej myśli. Był w Wiedniu, był w Insbruku, był w Pradze, którą Windischgrätz świeżo zbombardował, zważył usposobienie Węgier i innych prowincyj, zważył kabały dworskie, więc nie upatrywał pomyslnych skutków, z jawnego wystąpienia teraz przeciw rewolucyi; doradzał przygotowywanie tajemne, wzmacnianie się powolne, użycie sił przeciw Węgrom i doświadczanie, co też da się zrobić z sejmem ustawodawczym, do którego obranym został w Rawie przez intrygi. Ministerstwa sam przyjąć nie chciał, bo znał niepopularność swoją, czuł, że w takiej chwili nie byłby dał rady. —

Działalność Stadiona w sejmie ograniczała się na bardzo drobnym zakresie. Wystąpił on po raz pierwszy publicznie, kiedy była mowa o wezwaniu cesarza do powrotu z Insbruku. Mówił bardzo pomieszanie i lękliwie, nie rokując wcale mówniczego talentu. Sądził zaś, iż, aby cesarz mógł powrócić, potrzebuje rękojmi przyszłej spokojności i porządku; że wydział bezpieczeństwa (Sicherheitsausschus) powinien się rozwiązać jako władza rewolucyjna i niejako rząd w rządzie; zakrawał także na rozbrojenie legii akademickiej, lecz nie odważył się tego jawnie powiedzieć. Przeciwno tym twierdzeniom wystąpił Fischhof i zgruchotał je siłą swojej wymowy i swojego natchnienia. Odtąd popadł Stadion w zupełną parlamentarską nicość i nie pokusił się więcej popierania opinii swoich mową publiczną. Zabrał się więc do intryg, w których był zręczniejszy i na czém zasadzała się podobno cała jego dyplomatyczna biegłość. Otoczył się kółkiem zaufańszych znajomych, niejako znowu radą przyboczną, pielęgnował i mustrował pokatnie swoje kreatury Joachimowicza i Szaszkiewicza, wpływając przez nich na Ruteńców szerzących się jak pleśń pod jego oddechem, udzielał tajemnic rad i uwag to na dworze to w ministerium; za



jego podbechtywaniem został Lewicki, Metropolita lwowski, prymasem, a Jachimowicz biskupem w Przemyśle. Była to pierwsza nagroda ich wspólnictwa, pierwsze rządowe wyszczególnienie narodowości ruteńskiej, a co najzabawniejsza, wszystkie jęj korzyści z rewolucyi Marcowej. Niezmordowany w zakulisowej gorliwości Stadion poważył się w izbie namawiać wieśniaków galicyjskich do głosowania, wystawiając im kłamliwie przedmiot rozprawy. O to szalbierstwo oskarżył go publicznie Karol Kubicki, poseł olejowski, powołując się na świadectwa Mirona Czuperkowicza, posła z Gurahumura, Feliksa Stobnickiego, posła Tymbarzskiego i samychże namawianych. Przeto też szariwary Wiedeńskie wystawiło Stadiona z lejcami w rękę, jak ochelzawszy galicyjskich wieśniaków, kieruje jak bydlętami, to w prawo, to w lewo. Mimo tego jeden z posłów polskich nie wstydził się z nim przechadzać pod rękę. Mógłbym go tu wymienić, kiedy on sam nie uważał tego serdecznego porozumienia za krzywdzące; ale inaczej pojmuję cześć narodową i potępiając postępek, oszczędzam osobę, zwłaszcza, że to leży za obrębem działań publicznych, do których ocenienia naród ma prawo. —

Nienawiść Stadiona do Polaków od czasu adresu z 6go Kwietnia wzmagała się coraz bardziej. Wszystkie najbrudniejsze sposoby były mu dobre, aby ich zohydzać, aby im dokuczać i szkodzić. Znać nieczyste sumnienie nie dawało mu spokoju, więc szukał koniecznie ofiary, na którąby mógł zwalić winę własnych niegodziwości. Niepokojony takimi zgryzotami drukuje w piśmie czasowém Presse, do którego redakcyi wpływał, sprawozdanie ze swoich czynności w Galicyi, utrzymując, że jak najlepiej życzył temu krajowi, że zatém nie rozumie, zkąd się bierze niechęć Polaków do niego. Nie wiem, czy krok ten brać za dyplomatyczną bezczelność, czy za dowód krótkiej pamięci Stadiona, który już w odpowiedzi na memorandum tak się zaciekał, iż na drugiej stronnicy zapominał, co twierdził na pierwszej. Na to sprawozdanie jego znalazły się dwie odpowiedzi, jedna podobno przez posła Rohatyńskiego, na drugiej podpisany był Leszek Dunin-Borkowski, poseł lwowski. Żałuję, że tych dokumentów nie mam pod ręką, umieściłbym je tutaj; a jakkolwiek pismo moje przerosłoby w ten sposób zamierzony obręb, jednakowoż publiczność mogłaby łatwiej osądzić, czy nie pomyliłem się w obrazie Stadiona, czy barwy podawała mi rzeczywistość.

W głosowaniach Stadion zgadzał się zawsze z wsteczném stronnictwem, a dość jest, wziąć stenografie sejmowe do ręki, aby zobaczyć, którzy znowu z posłów naszych zgadzali się ze Stadionem. Po październikowych Windiszgrätza gwałtach łatwo było przewidzieć, że Stadion zostanie ministrem. Teraz przyjął ten urząd. O opinię publiczną już nie dbał, miał nadzieję utrzymania się długo, miał za sobą przemoc, miał wolne ręce, mógł robić, co chciał; a jak się wprzód z biegłością w intrygowaniu popisywał, tak teraz miał porę i możność popisania się z talentem organizacyjnym.

W stosunku swoim do sejmu począł Stadion jako wszechwładny minister ważyć go lekce, odpowiadał z szyderstwem na interpelacye, dopuszczał się nawet publicznie łgarstw gminnych. Jeden tylko dowód przytoczę jako charakteryzujący Stadiona: Kupiec Jerzy Gajer, poseł z Neudegg w Ilirii, pojechawszy w Styczniu 1849. r. do domu, chciał się znieść z wyborcami swoimi i wezwał ich do tego publicznie. Władza miejscowa przeszkodziła temu. Gajer za powrotem zapytuje ministeryum, czy podobne nadużycia z jego wiedzą się dzieją. »Dobrze uczynił urząd miejscowy, odpowiada Stadion, bo pan chciałeś wzywać

do buntu, organizować pospolite ruszenie.« Regulamin sejmowy nie dopuszczał debat, ale Gajer idzie do Stadiona i żąda dowodów. »Co tam dowody, odpowiada Stadion, dosyć, że takie było porozumienie. Na co kłopotać interpellacyami? Nie lepiej było przyjść do mnie, jak to pan teraz zrobiłeś? Zaczepiony publicznie muszę coś na obronę powiedzieć.« Łatwo każdy pojmie niedorzeczność twierdzenia, aby w Styczniu 1849. r. mogło komu przyjść na myśl, wzywać w małym miasteczku do pospolitego ruszenia przez jawne zaprosiny. Ministerium Szwarzenberg-Stadion wystąpiło zaraz w początkach swojego istnienia z programem, w którym w szumnych wyrazach nie powiada; wyznaje wprawdzie zasadę równego uprawnienia wszystkich narodowości, lecz jakże ją rozumie? Oto chciałoby przez pewne uznania i protekcyę utworzyć rządową narodowość, wywołać pod jej płaszczykiem zawiść i niechęci między współobywatelami, jak niegdyś polityka Metternichowska wszczepiała nienawiść między stany społeczne. Takie poróżnienie interesów rozбивa siły, któreby mogły być użyte ku osiągnięciu jednego wspólnego celu: wolności.

Wacław Zaleski rzadki wyjątek pomiędzy urzędnikami austriackimi, nieskażonego chara-

kteru człowiek, zaprowadził we Lwowie na mocy rozporządzenia ministryum Wessenberg-Dobbelhof obok uczelni niemieckich, uczelnie polskie. Stadion uważał w tém naruszenie równego narodowości uprawnień. Wykuglarzył on, jak opowiedziałem, narodowość ruteńską i wiedział bardzo dobrze, że jój nie ma. Więc za jój tumanem wspierając i popychając dowolnie, szerzył zepsucie, mnożył rządowe kreatury. Narodowość ruteńska, mówił on, ma prawo do szkół we Lwowie, lecz ponieważ jój język jest jeszcze nie wyrobiony, zatem niech uczą po niemiecku. Narodowość ruteńska ma we Lwowie prawo do urzędów, lecz ponieważ zachodzą spory i nie wiedzieć jeszcze, kto jest prawdziwym Ruteńcem, zatem niech będą urzędnicy niemieccy. W rutenstwo Szaszkiewicza nie mógł już wątpić, bo Szaszkiewicz liczne dawał dowody patryotyzmu austriackiego, nienawiści do Polaków i do wolności; a zatem zrobił go radzcą ministeryalnym. Przez wyniesienie Lewickiego i Jachimowicza założył kneble na niższe duchowieństwo. Oto są wszystkie uzyskania narodowości ruteńskiej!

Wspominałem wyżej, że Stadion według swoich konstytucyjnych pojęć rozumiał pod repre-

zentacją narodową tych kilku przyboczników, których (znając swych ludzi) dowolnie wzywał i składał. Myślałbyś, że to tylko w chwilach pierwszego zamętu, kiedy jeszcze nie było prawniej z wyborów narodu wynikłej reprezentacji. Gdzie tam! sejm ustawodawczy był zgromadzony od dawna, a Stadion znosił uczelnie polskie we Lwowie: »Weil sich die dortige Nationalität mehr gegen die Polnische, als gegen die Deutsche Sprache sträubt.« Zkądże to wiedział? Od zauzników? Wszakże posłowie miasta Lwowa zasiadali w sejmie. Jeden z nich Leszek Dunin-Borkowski oświadczył w izbie publicznie, iż *die ses Sträuben* jest fałszem; drugi Marjan Dylewski interpellował ministerium, ujmując się za polskimi uczelniami; trzeci Floryan Ziemiałkowski podzielał zdanie kolegów i podpisał się na interpellacyi. Ale gdzie tam! Niech posłowie narodu mówią, co chcą, naród nie chce szkół polskich, bo ich Stadion nie chciał. Owoż rząd reprezentacyjny! Stadion podsuwał służalców z petycyami i wykonywał ich prośby jako żądania narodu, a na głos zastępców wybranych przez samże naród był głuchy. Więc jak pytano, kto jest prawdziwym Ruteńcem? tak można było także zapytać; kto jest prawdziwym zastępcą

narodu? i jednakowo sobie odpowiedzieć: ten który się zgadza ze Stadionem.

Po uzyskaniach Windiszgräcowskich w Wiedniu, sejm ustawodawczy rzadko miewał przyjemność oglądania w gronie swoim oblicza ministrów. Stadionowscy przybocznicy utrzymywali, że Stadion niezmordowanie pracuje, a wszyscy ciekawi byli doczekać owoców téj wielkiej pracy. Naraz zjeżdża Stadion koło dziesiątej wieczorem do Kromieryża i wzywa pilnie swoich poufników. Skoro się zešli, pokazuje im ukaz cesarski, znośzący zaręczenia cesarskie z 16. Maja, rozwiązujący sejm ustawodawczy i nadający ustawę oktrojowaną, to jest dowolną. — Najprzychylniejsi Stadionowi poczęli robić przedstawienia i od kroku tego odwodzić. Stadion wzrusza się i przekonuje ich dowodami. Puście mnie! powiada, spieszę do Ołomuńca, aby to przerobić. Odjechał po jedenastej w nocy, a na drodze zdybywał oddziały wojska przeznaczone do osadzenia sali sejmowej, aby nazajutrz posłów nie wpuszczać. Była to ostatnia sztuczka posła Rawskiego.

Stadion jest wzrostu słusznego, budowy kościstej. Twarz jego ściąga łączy dziwne podobieństwo rysów rodowych (species) Habsburskich z rodzajowymi (genus) Mongolskimi. Szczególniej

oczy jego ukośne, zwłaszcza kiedy je przeciągnie otwierając usta do mowy, przypominają Chinczyków jak ich widzimy na porcelanie lub makatach. Czoło budowy europejskiej, wysokie, czaszka do połowy łysa i wyniosła. Miała w niej myśl gdzie się wyrabiać, miała się gdzie i zgubić. Są rośliny, które w wielki wsadzone wazon, wysilają się w korzeniach, tworzą tam zawile płataniny i nie wydadzą nigdy owocu ni kwiatu. Mózg Stadiona jest taką rośliną. Kiedy potrzeba było rósć w czyny, objawić wynikłości swoich nateżeń, poplątał się i dostał, jak pisały gazety wiedeńskie rozmiękczenia.

Powiadają, iż kogo Bóg chce ukarać, to mu rozum odbiera. Jeśli narody można jak osobne organizma uważać, a rząd jest wyrazem ich rozumu, to pan Bóg chciał Austryę ukarać, dając jój ministeryum Schwarzenberg-Stadion. Teraz i Stadiona pojedynczo spotkała ta kara. Bez uczuć, nieudolny do czynu, zawzięty, mściwy, przewrotny, urazy prądwiwe, czy urojone wiecznie pamiętający, zatruił się własnym jadem.

ELORIAN ZIEMIAŁKOWSKI,

Posel Lwowski.

THE HISTORY OF THE

Island of



iały różne poselstwa sejmu ustawodawczego rakuskiego ludzi wymownych, ludzi uczonych, ludzi w polityce biegłych, ale przyznać potrzeba, iż żadno nie miało tyle tęgich, prawdziwie wielkich charakterów, jak poselstwo polskie. Jednym z nich był Florian Ziemiałkowski.

Może ucisk w kraju naszym i nieustające prześladowania tę przynosiły korzyść, że hartowały ducha, że politycznej wierze męczenników nadawały chrzest święty; że czyniły wolność droższą, wszystkimi zrzeczeniami i cierpieniami nie dość opłaconą, tak tęskliwie upragnioną, jak znękanemu chorobą zdrowie. Serca cierpły w katuszach, obojętniały na powaby życia, na związki rodzinne, na szczęście domowe. Jeden tylko przedmiot ich męczeństwa, jak anioł boży, przytykał do ust spalonych gorączką kielich pociechy, przepędzał z więźniem noce bezsenne, zbroidł w cierpliwość, krzepił nadzieją; i oto ludzie wy-

chodzili z ciemnic tak politycznie ukształceni, jak gdzieindziej z parlamentów, tak czyści i w zasadach utwierdzeni, jak nigdzie. Nie miał już szatan siły nad niemi, łaski jego i pochlebstwa były wzgardzone, jego obietnice zdradzieckie, pełne ludzkości, spokoju i porządku, zawstydzone, jego dostatki przekupne, za małe! O! w takim ogniu okrutny ciemieżca nawet przetopniałby w kruszec pocziwszy. Cnota dopina w nim sił najwyższych, dosięga szczytów boskości. Tak głęboko, tak cudnie wszczepiła najwyższa opatrność w naturę ludzką prawdę, że co ją miało wypłenić — rozkrzewia. —

Mógł Florian Ziemiałkowski w czasie kilkolatniego austriackiego więzienia dostatecznie pokochać wolność, aby się jój nigdy nie zaprzec, dostatecznie ocenić despotyzm i polityczną rządu przewrotność, aby się z niemi nigdy nie wyjednać. Gdyby posłowie czescy prześli byli tę szkołę, nie byliby grzeszyli polityką pojednawczą, nie byliby spali spokojnie w dziecinném upewnieniu, że reakcja jest niepodobną, nie byliby ufali i dowierzali ufnością pocziwych, ale nie doświadczonych. Znać absolutyzm nie dość jeszcze broił i gnębił, aby mógł upaść; niechaj więc spełnia swą miarę! Znać nie wszystkim jeszcze dał się

jednakowo uczuć, kiedy się znachodzili tacy, co chcieli z nim wchodzić w przymierze. Nie należał do nich Ziemiałkowski. Nabyte bystrym rozumem, wyrobione pracą, poświęcone cierpieniami czyste demokratyczne zasady były dla niego religią. W nie wierzył, co mówię? o nich był przekonany; dla nich i przez nie wyglądał zbawienia; i nie zrażały go ich niepowodzenia jak niezrażały pierwszych tułających chrześcian zmo- wy i groźne uchwały ówczesnych Neronów.*) Wytrwałość kilku rybaków pokonała miliony przeciwników, ich skarby, ich wojska, ich kaj- dany, ich złość i ich potęgę. Mógł samowładny Domitian, upojony swoją wielkością, rozwalając Chrystusową naukę, brocząc w krwi jój wyzna- wców, wołać narodom: Słuchajcie i korzcie się! Bo Jowisz jest z nami przeciw Chrystusowi! Głos jego nie wstrzymał biegu wieków, a dzieje naigrawają się z napuszonego poganina. Demokra- cya jest chrześcianizmem czasu naszego. Owoż macie polityczne Ziemiałkowskiego wyznanie. Po- kolenia po pokoleniach przeminą strawione tru- dem i nędzą; święci wolności mrzeć będą w kaj-

*) Romae Christianos supliciis ac mortibus affecit, ac per omnes provincias persecutione exercuari imperavit. Paulus Oracius Lib. VII. Hist. c. 5.

danach, w głodzie, na szubienicach i czego tylko zażąda wielkość ich sprawy; ale zasady ich ostaną i nie przeminie dzień ich zwycięstwa.

Ziemiałkowski nie pokładał w sejmie ustawodawczym takich nadziei, jak wielu innych. Obliczył się on dokładnie z terażniejszością i widział, że ona nie spełni jeszcze oczekiwań narodów, życzeń jego serca. Ale nie zniechęcał się przez to, nie ustawał w gorliwém współdziałaniu, bo zapominał swoją osobowość, a poczuwał się jako członek całej ludzkości, która wielkich celów swoich dopina powolną pracą w zawodach i w poświęceniu. Wybrany do kommissyi konstytucyjnej zasiadał w niej jako duch przyszłości, targując się w jej imieniu o każdy włos, aby następni mieli o ten włos ułatwioną pracę dni swoich. —

Ziemiałkowski silny był przekonaniem, a sercem skromny. Nie pragnął błyszczyć wymową, nie chodziło mu o oklaski. Długi czas nie odzywał się w sejmie i siedział prawie nieznany. W Kromieryżu w sprawie wolności wyznań wyszedł na mównicę sejmową po raz pierwszy i ostatni. Uprzedzenie było przeciw niemu, bo ludzie sądząc wszystkich według siebie, myśleli zapewne: Kto mógł mówić i mówić dobrze, ten już

mówił; a owoż pod jesień jakiś parlamentarski pierwiosnek! Tymczasem mowa Ziemiałkowskiego podbijała sobie coraz więcej uwagę słuchaczy. Pomiarkowali, że w pierwocinach tych objawia się dojrzałość pierwszej siły, i ucichło w izbie. Ta cisza ciekawości i zajęcia, jaką nie łatwo kto sprawował w sejmie rakuskim; ta cisza zdobyta siłą przeciw uprzedzeniu, ustała dopiero z ostatniem słowem mówcy, ustępując miejsca szumnym oklaskom. Ziemiałkowski spełniał zadanie swoje umiejętnie, zasadnie, treściwie i jasno. Kiedy w komissyi konstytucyjnej przyszedł pod obrady podział Polski austryackiej, o jaki upominali się Ruteńce, na mocy narodowości Stasionowski, a członkowie téjże komissyi nieświadomości naszych stosunków byli w wątpliwości: wyświecił im Ziemiałkowski ten przedmiot ze strony historycznej, politycznej, prawnej i rozumowej w sposób tak przekonywający, że z trzydziestu członków, dwudziestu sześciu oświadczyło się przeciw podziałowi. Pobity na głowę Jachimowicz umilkł na zawsze, milczeniem zawstydzonych. Żałowano powszechnie, że komissya konstytucyjna nie miała stenografów, aby mowa Ziemiałkowskiego mogła przejść do publiczności. —

Przekonanie robiło Ziemiałkowskiego cichym i spokojnym. Wiedział on, że postęp ludzkości nie zawisł od sejmu ustawodawczego i że nie ustanie z nim razem. Przewidywał, że nadejdą ciężkie dni doświadczenia. Ubolewał nad teraźniejszością, w przyszłość nie wątpił; przeto nie opuszczał rąk, nie litował zabiegów, nie trętwiał. Wypoczynek będzie po śmierci. W duszy Ziemiałkowskiego łączył się czysty patryotyzm polski z czystą treścią ostatecznej lewicy sejmu rakuskiego. —

ZDZISŁAW ZAMOJSKI,

Posel Laszecki.

THOMAS W. BARNES

Lord Lincoln



rzystępuję teraz do opisu posła, który w ciągu sejmu ustawodawczego ust nie otworzył. Z samych głosowań nie można dokładnie ocenić politycznej treści człowieka, bo nie znajome są jeszcze pobudki. Z twierdzeń objawianych w klubach dają się pewniejsze wywodzić wnioski, ale te materiały może niechętny wykrzywić i opacznie tłumaczyć, a opisany może się ich zaprzec. Zdawałoby się zatem, iż brakuje barw na polityczny obraz Zamojskiego. Tak jednak nie jest. Ma publiczność przed sobą jego Oświadczenie do wyborców i kolegów, w którym czyni polityczne wyznaczenie, objaśnia swoje zachowanie się w sejmie, motywuje swoje głosowania. Ten dokument posłuży mi sprawiedliwie za podstawę do pracy niniejszej. Jeżeli, w co nie wątpię, znający bliżej Zamojskiego, obcujący z nim częściej, nabierają

poważania dla wielu osobistych przymiotów, zalecających go w rodzinie i społeczeństwie: to znowu owo jego oświadczenie potępia zupełnie politycznego człowieka. Nie masz w niém zdania jednego, któreby już nie okazało się błędném, nie masz jednej politycznej kombinacyi, któraby nie odsłoniła jasno, że poseł laszecki sumiennie przyczyniał się do tego, czego sobie sumiennie nie życzył. Rzadko się zdarza, aby komu wszystkim jego polityczne utrzymywania i widoki tak stanowczo pobili wypadki w przeciągu kilku miesięcy. Stawiając oświadczenie Zamojskiego obok wszystkiego tego, co zaszło do tych czas, zdaje się, jakby kto pchał ogień w strzechę w tym celu, aby ją moczyć. Ależ, powiecie może, to byłoby czystém szaleństwem! Zapewne, bo rozsądny powinien znać skutki ognia. W polityce jednak zdarzają się takie szaleństwa przy najzdrowszych zmysłach: bo nie zawsze przewidyć można lub przeczuć skutki użytych środków. Najwięksi politycy popełniali czasami takie pomyłki. Ale kto błądzi zawsze, w każdym zdaniu swojém, kto błądzi niezblizenie, ale wbrew przeciwnie temu, co bliska przyszłość odsłania: ten już niezdatny do politycznego zawodu, ten już nie myli się, ale wcale nie umie.

W ogólności oświadczenie Zamojskiego budzi zrazu przykre uczucie i mimowolnie naprowadza myśl, że wychowanie cudzoziemskie, czyto pobierane w kraju czy za granicą, wynarodawia. Nie tak, aby odbierało przywiązanie do ojczyzny; ale nadaje mylne wyobrażenia o narodowych żywiołach, nadaje zapatrywanie się obce, nie narodową oświatę. I Francuz i Niemiec i każdy inny cudzoziemiec może sprzyjać Polsce, może czuć żywo jój nieszczęścia, pragnąć z całej duszy jój odrodzenia, ale czyż będzie przez to Polakiem? czy zdoła przez to w chwili stanowczej wynaleść siły polskie i skutecznie ich użyć? Aby utrzymywanie moje udowodnić, opierając się zawsze na Zamojskiego oświadczeniu, nim wglądnę w treść jego, muszę chociaż pobieżnie dotknąć strony zewnętrznej, materyalnej. Oto oświadczenie chociaż z słów polskich złożone, nie jest pisane po polsku. Pomijam okresy, pokaleczone łamaniem, naciąganiem i nadziewaniem wsunąć pośrednich, wyglądające przeto jak lipy, które skażony gust włoski na naszej ziemi giał i obcinał, dziwaczne nadając im kształty. Nie tak wyglądała lipa w Czarnolesiu! Ale w oświadczeniu Zamojskiego nawet się części mowy z sobą nie zgadzeją. N. p.: »pracować nad posta-

wieniem nowój budowy towarzyskiej i politycznej, mającą nas dalej chronić, mającą zastąpić runiony gmach.« A zatém budowy mającą! Sensu w oświadczeniu często domyslać się trzeba, ale często domysleć nie można. N. p. przytaczam tu cały okres od punktu do punktu z zachowaniem wierném przycinkowania. »Miłości nie czuję ni do państwa ni do Wiednia, gdyż mnie z nimi łączy jedynie interes mego kraju, a ten interes chwilowo znikł; i łączy uczciwie, szczerze i ściśle.« Zapytacie może, co ma do wizerunku politycznego posła jego nieumiejętność języka? Nie zapominajcież, że wizerunek ten przedsięwziąłem na podstawie napisanego oświadczenia, że wspominałem, iż ono natrąca myśli o wy-narodowieniu, że twierdzenia tego nie mogłem bez dowodu zostawić, że wreszcie na tém opieram wnioski, iż poseł laszecki cudzoziemskie musiał otrzymać wychowanie. Lecz poprzestaję na dwóch przykładach, nie będę dłużej doświadczał cierpliwości czytelnika na powierzchownościach i przystępuję do wnętrza.

Oświadczenie było pisane 22. Października 1848. roku, to jest: na kilka dni przed wejściem Windischgrätza do Wiednia. Zamojski utrzymywał wtedy, że:

1. Stara Austria, wyobrażana dynastyą, gabinetem wiedeńskim i pasożytną biurokracyą, ta Austria, dzięki Bogu runęła, i runęła bez nadziei powrotu.

2. Że dawny rząd austriacki istnieć już przestał w swój osnowie i potędze. Pozostałe z niego szczątki ostatecznie zmieść od naszej woli i trafności naszego postępowania zależy.

3. Że federacya Słowian rakuskich przez sejm ustawodawczy dokonać się mająca, jest podobną, zdaje się niezawodną i jeszcze możliwą.

4. Że w związku z Czechami upatruje możność przeprowadzenia federacyi z odrębnością prowincjonalną, wraz z zasadą rzetelnej demokracji.

5. Że w tym związku upatruje opozycyą przeciw ogromowi absolutnej Rossyi.

6. Że dopomagając elementowi niemieckiemu do jedności niemieckiej, poddałibyśmy wszystkie ludy słowiańskie i Wielkie Księstwo Poznańskie w jarzmo niemieckie i madziarskie, a Galicyę w jarzmo moskiewskie.

7. Że sejm (1848.) jako konstytucyjny i powstały z rewolucyi jest nieustającym i rozwiązany być nie może, póki dzieła swego nie dokona i tém dokonaniem dopiero rewolucyi nie zakończy.

8. Że przyjęcie deputacyi madziarskiej przemieniałoby sejm w konwent i narażało go na rozbitcie.

9. Że przekonał się po pięciodniowym pobycie, iż sejm październikowy zajmował się w Wiedniu jednością Niemiec. Pojrzawszy na taki zapas silnej, szkoda tylko, że zawodnej wiary, jaka przy końcu Października 1848. r. ogrzewała jeszcze pierwszą laszeckiego wątpić nie można, że Zdzisław Zamojski jest łatwowierny, nadto, że jest politycznym optymistą. Wszystkich tych wyżej przytoczonych twierdzeń, dzisiaj już zbijać nie trzeba, sam czas wykazał zupełną ich mylność. Wszystko stało się przeciwnie. Dla czego? Czy zdanie jego nie znalazło może poparcia i większości w sejmie? Gdzie tam! Zamojski trzymał zawsze z tak nazwanem czeskiem stronnictwem, zawsze z większością. Jeżeli tedy prawdą jest co powiedział (Nr. 2.), iż od woli i trafności postępowania sejmowego zależało ostateczne zniszczenie i usunięcie dawnego absolutycznego rządu w Austrii: to straszna leży odpowiedzialność na większości sejmowej, brakowało jój dobrej woli albo trafności. Trudno zachwaleć wymowniej, choć mimowolnie, politykę mniejszości, z którą Zamojski nie trzymał.

Wiemy aż nadto dobrze, co uzyskały rewolucye wiedeńskie: obietnice, same obietnice. Zwolano wprowadzić sejm ustawodawczy, ale Radecki podbijał Lombardję, zapraszając Włochów ogniem i mieczem do nowego braterstwa, do nowój austryackiej wolności; ale przeciwko Węgrom podżegano Słowian, kusząc się o odebranie tych swobód, jakie im świeżo nadano; ale w Czechach zbombardowano Pragę, w Polsce Kraków; ale rozwijaniu się życia konstytucyjnego tysiączne stawiano trudności i przeszkody; ale owa pasywna biurokracya głużyła jeszcze wszelkie zarody obiecywanój wolności; ale urzędy, wyjąwszy ministrów, obsadzone były jeszcze przez dawniejszych absolutycznego rządu służalców. Czyż nie dość dowodów, że trwała jeszcze dawna polityka rządu, że dawny system administracyjny jeszcze nie upadł; że zaczajona reakcya wzmacnia się, aby częściowo z miejsca na miejsce, z prowincyi do prowincyi dawny stan rzeczy wprowadzić; że ministeryum nie zasługiwało na ufność; że sejm w oczach rządu był igraszką bez przyszłości? Ale Eberhard Jonak poseł z Brandeis w Czechach przymrużywszy oczy, zapytywał z zadziwieniem: zkąd i jak miałyby przyjść reakcya? (Von wanen und von winnen) wsadził okulary

na nos i mówił, że jój nie widzi. Więc Zamojski spuszczać się na to, utrzymywał z zupełną pewnością, że Austria dawna, wyobrażana dynastją, gabinetem wiedeńskim, biurokracyą itd. runęła i runęła bez nadziei powrotu; (Nr. 1.) że rząd dawny absolutny przestał już istnieć na zawsze. (Nr. 2.) Z takich pewników wyprowadzając swe wnioski, trudno było zdybać się z prawdą. Wywody Zamojskiego, jak każde inne, tyle są warte, co ich założenia (praemissy). —

Zamojski nie zaprzecza, że sejm ustawodawczy miał być dokończeniem rewolucyi, (Nr. 7.) a przecież za pomocą tego sejmu chciał pokonywać uzyskania rewolucyi i zamiast trójbarwnej chorągwi, wywiesić czarno-żółtą. (Nr. 6.) Tego téż rząd chciał i dokazał, choć mu zarzucić nie można słowiańskości. Sprawiedliwość na tém zawisła, aby zasadę za sprawiedliwą uznaną nie dla samego siebie wyzyskiwać, jak to robią despoci; ale jednakowo do wszystkich zastosować. Powiedzieć: Słuszna jest dążność Polaków połączenia się z Polakami, ale niesłuszna dążność Niemców połączenia się z Niemcami, jestto popełniać krzyczącą niesprawiedliwość. Trzeba było przyczyniać się do zupełnego zwycięztwa zasady, a jój wynikłości prędzej czy później nastąpiłyby

koniecznie. Sprawiedliwy tylko ma prawo upomnieć się o sprawiedliwość. Kto chce zbierać, musi zasiać, ale powiedzieć: »nie będę siał, bo może się chwast rzucić«, i jeszcze mieć zupełną nadzieję zbierania, na to potrzeba zbyt silnej wiary, prawdziwego supernaturalizmu. Obawę przed Niemcami wygórowali Czesi w niektórych słabowitych umysłach do tego stopnia, że przechodziła w istotny Fetyszym. Nie było pociesniejszych stworzeń jak owi niemcożercy. Za najrozumnieszy dowód, za najpolityczniejszą przy głosowaniu pobudkę uchodziło u nich: »przeciwko Niemcom ze Słowianami.« I głosowaliście ze Słowianami, i byliście w większości i cóżeście dopięli? Trzeba nadto wiedzieć, że za Niemców uchodzili u nich tylko Niemcy liberalni, ci którzy pragnęli jedności Niemiec, zwycięstwa rewolucyjnych zasad; Niemcy zaś reakcyjni Stadion i Helfert i całe centrum, które przyczyniało się głównie do większości sejmowej, to nie Niemcy, to prawdziwi Słowianie, z nimi można było głosować bezpiecznie pomimo zabobonnego wstrętu do Niemców. Rzeczywiście zaś dla bardzo wielu owa straszna niemieckość była tylko bańką mydlaną, aby pod tym pozorem trzymać z rządem, nie narazić się ministeryum. Ta niby idea była

najlepszą maską na brak ideów, na brak odwagi cywilnej. Skutek okazał, kto był prawdziwie za wolnością. Owi zakazani Niemcy, których styczność zanieczyszczała prawowiernych, tułają się w obczyźnie, ścigani przez absolutyzm dzisiejszy, a owi niby nie Niemcy siedzą spokojnie i urzędują po niemiecku.

Zdzisław Zamojski pokładał w sejmie ustawodawczym wielkie nadzieje, (Nr. 3. 4.) mimo tedy całej pewności, że rozwiązaniem być nie może, (Nr. 7.) przykładał wszelkich starań, aby go od rozbicia uchować, i dla tego głosował przeciw przypuszczeniu deputacyi madziarskiej. (Nr. 8.) To coś tak właśnie jak owi rodzice, którzy w wielkiej troskliwości o życie swych dzieci, wycieńczają je ulepkami, chronią od najmniejszego powiewu i przy najlepszych chęciach utrzymania, zabijają najdroższe sobie istoty. Nieprzypuszczenie deputacyi madziarskiej było zabójstwem sejmu ustawodawczego. Trudno było przewidywać wypadki 6. Października, ale łatwo było przewidzieć, że uchwała powzięta przeciw opinii publicznej wywoła oburzenie, jakie wśród ludności uzuchwalonej obok słabego rządu, Bóg wie jak daleko zająć mogło. Powstaniu ludowemu powinien był sejm zapobiegać przedewszy-

stkiem, bo ono wyzywało wszystkie siły reakcyi, a reakcyja tylko mogła sejm rozbić. Ale Zamojski nie wierzył w reakcyę, więc upewniał, że sejm ustawodawczy rozwiązany być nie może. Nie dorzeczném jest twierdzenie, jakoby wysłuchanie deputacyi węgierskiej było przywłaszczeniem władzy wykonawczej. Odkądże to władza wykonawcza zasadza się na słuchaniu. Nie trzeba być za lęklwym, kiedy chodzi o losy narodów! Sejm ustawodawczy to nie żak szkolny, który się trzyma niewolniczo skreślonych przez bakalarza na tablicy linii, aby je nie przekroczyć najdrobniejszym pociągiem. Sejm jako pośrednik pomiędzy cesarzem i Węgry, mógł być z obu stron wymóżyć słuszne koncesye. A nie, to powróciłby do swoich zatrudnień. Reakcyja wtedy nie była dość silną, aby go rozwiązać, kiedy nawet po zdobyciu Wiednia przez Windischgrätza nie zrobiła tego zaraz. Przypuściwszy jednak, iż pod pozorem, że sejm wtargnął do władzy wykonawczej, poważonoby się rozpuścić go, cóż ztąd? Wszak rozegnano go i bez tego pozoru. Kto chce uderzyć, ten kij znajdzie! Ale przypuściwszy, że sejmbym pogodził Węgrów z monarchją; jakżeż inna wtedy postać rzeczy w Austrii! Czechów zaślepiały w tej sprawie namiętności,

widać to było z ich mów; a Zamojski trzymał z Czechami.

Słusznie zapytaćby można, dla czego poseł laszecki przy łatwowierności swojej wierząc nie raz w rzeczy trudne, nie wierzył w łatwiejsze n. p. w reakcyę? Dla czego nie podzielał zdań innego stronnictwa, tylko koniecznie czeskiego? Zkąd się w nim brała ta chimeryczna wiara, czy omackowa przypadkowość? Nie czytelnicy! nie chimera to i nie przypadek. Przyczyna tego zjawiska leży głębiej w ludzkiej naturze. Prawda i to, że jedna wiara wykluczała drugą, ale Zamojski nie rozbijał się i nie błąkał pomiędzy niemi, trzymał się jednej do końca; wypadki nie zmieniały go. Zkądże znowu ten upór? Z wiary. Zamojski jest rozsądnym człowiekiem, lecz zwykły rozsądek nie wystarczał; potrzeba było utworzyć sobie pewne polityczne wyznanie. Każde wyznanie nabywa się albo z rozumowań albo z objawień; posadą jego jest albo przekonanie albo wiara. Pietyzm był w duchu Zamojskiego przeważnym elementem, skłaniał go zatem do wiary. Zamojski przekładał objawienie wygodne nad dociekania mozolne. Czesi ugodzili w jego słabość, objawiali gotową politykę. Skoro zaś przyszło z téj polityki tłumaczyć się przed wybor-

cami, objaśniać ją: to Zamojski wpadał w sprzeczności, jak zwykle bywa, kiedy kto swój rozum do objawienia stósuje. Widzieliśmy, że z tego powodu w przedmiotach religijnych bardzo światli ojcowie wielkie utrzymywali niedorzeczności. Jest w tym różnica: wierzę, bo przekonałem się, a przekonany jestem, bo wierzę. Dla przekonań wiarę zmieniać, to własność czystego rozumu, pełnej oświaty; dla wiary nie chceć przekonań, to własność przesądnego rozumu i połowicznej oświaty. Wszakże sam Chrystus powiedział: »Dochódźcie i zatrzymujcie co dobre.«

Zachodzi jeszcze pytanie, czy Zamojski trzymając się polityki w oświadczeniu wyłożonej, nie miał innych powodów prócz tych zaiste błahych, które chciał wyjawic wyborcom swoim i kollegom? Zamojski należał do tych, którzy w ruchach 1848. widzieli zagrożoną własność. Jestto zawsze i wszędzie cokolwiek egoistyczne uczucie, przez absolutyzm łąpczywie wyzyskiwane. Rząd straszył anarchią, przymrużał na nią oczy umyślnie, a prawi nawet obywatele poczęli wszystkie nadużycia demokracji uważać za nierozdzielne od niej; lękali się jój zupełnego zwycięstwa, przewidzenia jój wszystkich zasad. Obok słabowitego ciała i rozdrażnionych nerwów, pie-

tyzm osłabił Zamojskiego duszę. Ozdobił ją piękną cnotą znoszenia i cierpliwości, ale jęj odjął hart wszelki, wszelką odporność; zrobił ją bierną i napoił niepotrzebnemi obawami. Może z przypatrzenia się społecznemu stanowi cudzoziemskiemu powstał w Zamojskim ów strach przed proletaryatem i kommunizmem. Gdzie indziej te straszidła mogą być straszną prawdą, u nas są jeszcze przywidzeniami. Kto się ich w Polsce w 19tym wieku obawia, ten Polski nie zna, albo przez dar jasnowidzenia daleką przyszłość wystawia sobie żywo jakby obecność. Zważmy tylko żyzność ziemi naszej, która stósunkowo do obszerności swojej tak rzadko jest zaludnioną, iż jeszcze nie objawiła się nawet narodowa potrzeba fabryk. Policzmy tę wielką ilość prawdziwego proletariatu z zagranicy, który pod nazwiskiem urzędników obcych rządów, oblaźł nas jak nędza, i obok krajowców w dobrym utrzymuje się bycie: a wtedy poznamy, czy mając rząd własny, możemy się obawiać proletariatu. Nasze rewolucye muszą być przedewszystkiém politycznemi rewolucyami, bo my politycznego bytu nie mamy. Że grube massy zagrzewane do poświęcenia się dla bytu politycznego powodowane są widokami poprawy bytu własnego, rzecz naturalna, bo ludzie

muszą być ludźmi. Ale nie bójmy się proletariatu naszego, nie potrzebujemy pokonywać go bronią, ani na posilenia wysyłać; możemy go nakarmić i odziać. Słuszna téż, aby za udział, jaki brać będzie w odbudowaniu przyszłej naszej ojczyzny, znalazł w niej umieszczenie i utrzymanie, kiedy jest możność a nawet łatwość po temu. Ileż to majątków nie poświęcono już rzeczywiście dla idei patryotycznej? Ileż nie zagrabiła obca złość i drapieżność? Ileżto ludzi zdatnych nie utrzymuje się teraz z własnych dochodów, którzy przy odrodzeniu ojczyzny sprawując służby publiczne, tém chętniej utrzymywaliby się z własnych dochodów, odstępując dochody z urzędów, gdyby tego potrzeba było na zaopatrzenie proletariatu, zanimby się stosunki społeczne ustatkowały? Jeżeli w powstaniach naszych tego rodzaju obawy ochładzają czyją gotowość i paraliżują wspólną działalność, to na dnie tych wszystkich pozorów leży zawsze egoizm, brak patryotyzmu, słabość fizyczna albo umysłowa. —

W Październiku uznał Zamojski za rzecz stósoną, wynieść się z sejmu i z Wiednia. W oświadczeniu tak o tém wspomina: »postanowiłem do czasu, na terażniejszą chwilę, w skutek terażniejszych zakłóceń i dziś panujących w Wiedniu da-

żności, usunąć się od obrad sejmowych.« Usunąć? grzecznie powiedziawszy, bo usunięcie to było bez zawiadomienia i zezwolenia sejmu.

Zdarza się i żołnierzom, iż postanawiają do czasu, na terażniejszą chwilę, w skutek terażniejszych zakłóceń i dziś panujących dążeń, usunąć się z placu bitwy. — I jakże Zamojski usunięcie to usprawiedliwia? Oto przekonał się po pięciodniowym pobycie, iż sejm zajmuje się jednością niemiecką. Przeciwno temu trudno dowodów! Świadczą jednak sprawozdania stenograficzne i protokoły sejmowe, iż w Październiku nikt nawet z pojedynczych członków nie mówił za jednością niemiecką, cóż dopiero aby się nią sejm cały zajmował. Radbym obaczył choć jedną w tym przedmiocie uchwałę albo przynajmniej debatę! Tu zagrożone były uzyskania rewolucyi, wolność była w niebezpieczeństwie; możnaż się w takiej chwili zajmować czém inném? Ależ powiada Zamojski, z sejmu Frankfurckiego przybyło trzech ochotników z oświadczeniem, że sejm wiedeński zasłużył się niemieckiej ojczyźnie. To mi walna przyczyna! Chociażby poprawdnie z takim przybyli oświadczeniem..... Ale Zamojski nie myśli tak opacznie jak utrzymywał. Są prawdy niewinne, a jednak tak wstydlive, iż dla

ich utajenia, wolimy wymyślać najdziwaczniejsze przyczyny. W Wiedniu było niebezpiecznie. Cóż w tém dziwnego, że człowiek słaby, przerażony proletariatem nie mógł spokojnie pełnić obowiązków, nie mógł wytrzymać w mieście, gdzie proletariat był uzbrojony, a do powściągnięcia go nie było tylko siła moralna?

Ktokolwiek przypatrywał się Zamojskiego parlamentarskiemu zawodowi, przyzna, iż jeszcze jedną miał własność, z pietyzmem blisko pokrewnioną: lubił nawracać. Gdzie bądź, upatrzył duszkę błądzącą bez pasterza po polityczném pustkowiu, przypierał ją ciasno do kąta i nie puścił, aż wydobył z niej: *confiteor*. Mógł śmiało robić prozelitów, nie obładowywał nimi sumienia. Wszakże polityka jego chociaż jedynie zbawiająca była z drugiej ręki, była wyznaniem objawioném. Tak w średnich wiekach pewien misjonarz trapiiony wątpliwościami, uspakajał się, mówiąc: jeżeli religia chrześcijańska nie jest prawdziwą i zbawienną, to Chrystus za to odpowiadać będzie; on ją wprowadził: ja przyszedłem już do gotowój. —

MARIAN DYLEWSKI,

Posel Lwowski.

WILSON J. WILSON

1891



by dać wyobrażenie o powierzchowności Dylewskiego, potrzebuję dwóch króli polskich. Wystawcie sobie głowę Sobieskiego na tułubie Łokietka, a będziecie mieć zarys ogólny. Rzeczywiście pełne i dorodne policzki na mięsistym osadzone karku, skazane były przez dziwaczność natury przewodniczyć bardzo im nieodpowiedniemu drobnemu wzrostowi. Nie wiem, czy zmyślono szczęśliwie, czy zdarzyło się istotnie, że szlachcic jakiś przyszedłszy do Dylewskiego, którego dawniej nie znał, zastał go w łóżku, a obaczywszy na poduszce twarz szeroką i rozrosłą, lica kwitnące, nos spory, wąsy zawiesiste; wystawiał sobie pod kołdrą olbrzyma. Po krótkiej rozmowie wyszedł nasz szlachcic, ale tkwiło mu zawsze w myśli: ależ to kolos. Po południu przychodzi Dylewski do szlachcica. »Kogo mam honor?« pyta się szlachcic. »A wszakże pan byłeś u mnie dziś rano« odpowiada Dylewski.

»Prawdziwie nie przypominam sobie,« mówi szlachcic. Jak to? pan nie byłeś dziś u Dylewskiego? Byłem, ale tamto ogromny mężczyzna. — A kiedyś pan go całego nie widział, bo leżałem w łóżku? Dopiero rozpierzchły się ułudy z przed oczu szlachcica. Taka to moc jest przywidzeń i wyobraźności. Kiedy Dylewski stał na sejmowej mównicy, nie widać było tylko głowę i mniejsze pół piersi, prawie poramiona; więc mównica zdawała się ogromnie głęboka. Z tą postawą rzutną i czupurną, łączyła się pewna duszy jowialność. Mowy Dylewskiego składały się z porozrywanych krótkich, jak mówca, urywków. W języku naukowym kawałki takie zowią się aforyzmami. Napelniał je Dylewski zwykle żarcikami, przypowieściami, bajeczkami najczęściej stósownemi, ale bez względu na to czy branyymi ze starego czy z nowego testamentu, czy z Ezopa, czy z której tegoczesnej gazety. Wyglądało to jak nasadzania z kości słoniowej w rozmaitym stylu. Nowość taka podobała się bardzo. Dylewski był ciekawie słuchany i powszechnie lubiony. Nie wdawał się on w długie wywody, w obszerne rozbiory, w dokładne zgłębianie; ale tu miał fakt historyczny, tu postrzeżenie dowcipne, tu bardzo rozsądną i bardzo praktyczną uwagę, tu doświad-

czenie, tu przestrozę; więc kładł jedno przy drugim i mówił długo. Taka żywa mozaika nie rzucana na oślep, ale dążąca do pewnego zamiaru, popierająca pewne zdanie, musiała czynić wrażenie. Było to całkiem swobodne, całkiem naturalne wywnętrzanie się; sztuka nie brała w niem najmniejszego udziału. Dylewski nie pytał o retoryczne prawidła, co tam wstęp, co środek, i tak dalej; lecz jak był prędko i łatwo zapalający się, tak często zrywał się do słowa. Co go do mówienia podlegało, to mu leżało najprzód na języku, więc bez wstępu skakał do środka, chwycił za przedmiot. U niego zawsze *quousque tantum Catilina abutere patientia nostra?*

Powiedział on w izbie o sobie, iż zwykle bez przygotowania mówi. Jabym powiedział, iż lepiej mówił bez przygotowania niż z przygotowaniem, lepiej w uniesieniu niż w stanie spokojnym. Bo na czém zasadza się przygotowanie mówcy? Oto, ażeby dany przedmiot przemyśleć, ze wszech stron obejrzeć i zgłębić, a odlawszy go w umyśle w jedną modłę, oddać w związtęj, ściśle trzymającą się całości. Dylewski systematyzować nie umiał. Wartość mów jego zasadzała się na porozrzucanych szczęśliwych pomysłach, trafnych postrzeżeniach, praktycznych uwa-

gach, jakie mu pierwsza chwila przyniosła, pierwsze uczucie natrąciło. Jak te postrzeżenia i uwagi połączyć, jak im wyszukać umiejętnie pokrewieństwo i związek, jak im dać całość: to nie rzecz jego. On był człowiekiem praktyki, ale nie politycznej teorii. Co do istoty ducha stanowił Dylewski prawie przeciwieństwo Smolki. Obok tak wielkiej różnicy, obydwaj posiadali właściwą sobie rzetelną wartość. Taka jest rozmaitość, takie bogactwo darów przyrody!

Dylewski miał nawyknięcie często *No mówić*. *No*, wymówione z pewnym stósownym gestem, oznaczało u niego i wstęp przygotowawczy i koniec okresu czyli punkt, i chwilę namysłu i przejście z myśli do myśli, i mające nastąpić pojednanie dwóch sprzeczności. Stenografi opuszczali zwykle ten wiele znaczący wykrzyknik. Prawda, że mu tylko mimika mówcy nadawała jakąś zrozumiałość; w czytaniu pewnoby zawadzał.

Widzieliśmy własności umysłowe, jakimi odznaczał się Dylewski w poselskim zawodzie; obaczmyż jego polityczną barwę, która oczewiście mieni się według osobistości, i nie jest odrębnym zewnętrznym przydatkiem. Duch tak mało systematyzujący jak Dylewskiego, rozgrzewany ciągle w kipiącej krwi od serca, nie mógł mieć wyro-

bionego politycznego wyznania; co więcej, nie potrzebował go nawet. Radził on sobie od razu według pojedynczych potrzeb. Oceniając przedmiot pod obrady idący, nie odnosił go Dylewski do jakowegoś wyższego politycznego układu, nie przymierzał z jakimś stałym politycznym prawidłem; ale odrębnie jak stał, zważał stosunek jego obecny do rządu, do społeczeństwa, do narodowości, i pochwalał albo potępiał dla jego indywidualnych zalet lub wad bez względu na jego rasę duchową, na jego pochodzenie.

Tak kiedy Windischgrätz opasał Wiedeń i wszystkie listy przejmował i otwierał, wyrwał się Dylewski z temi słowami: »No mniejsza o tajemnice listowe,« oburzyli się na to teoretycy. I teoretycy mieli słuszość i Dylewski. Bo gdzie chodziło o tyle innych ważniejszych wolności zagrożonych i ciągle gwałconych, tam zapewne podrzędną była nienaruszalność listów. Dylewski uważał rewolucyę Wiedeńską i Berlińską jako objawy pojedyncze, osobne, same przez się i dla siebie. Nie dopuszczał, aby miały związek z rewolucyą paryską, aby były skutkiem jęj politycznego potrącenia.

Dylewski był prędkie, zajmował się łatwo i nie umiał powściągać się. Kiedy go co ubodło, zry-

wał się zaraz, chciałby mówiącemu przerwać. Rozpłomieniał się, niepokoił, i gotów do walki stawał po kilka razy, nim jeszcze słowo uzyskał. Jak niecierpliwy strzelec, kiedy zwierze postrzeże, ma broń nabitą, składa się; lecz za daleko strzelać nie można. Więc składa się znowu i znowu. Dylewski ledwo się dorwał do słowa, zaczynał sztuką krzyżową. Klaps na lewo, klaps na prawo; na lewo cukierek, na prawo cukierek. Więc ci i owi pogniwiali się na niego i pokochali go; bo nasz poseł nie był uparty i jak się nagle zapalał, tak też nagle przygaszał. Skoro się wyfukał, gotów był do pojednania. Ulubioném jego zdaniem było: »No trzeba kapitulować.« Wierny wizerunek dawniejszych naszych palestrantów, co to się brali zaraz do korda i zaraz przystępowali do zgody. Jeden z tych prawdziwie polskich charakterów, o których mówi Ryków w panu Tadeuszu, że to i do wybitki i do wypitki.

Porównałem Dylewskiego ze strzelcem i jeszcze wypada mi wrócić do tego porównania. Ruteńców Stadionowskich uważał on za drobną zwierzynę, na którą szkoda grubego naboju; strzelał w nich brokiem. Dziwnie mu do tego służyły dobry humor i niezmyślona wesołość.

To naliczył im z ośm równo uprawnionych narodowości w Galicyi, nie pomijając Filiponów, Cyganów i Karaimów; to sam do nich przystawał. Szaszkiewicz poznał ich jak trzodę barwami dawnego województwa. Dylewski przyjął te barwy i na powitanie cesarza wracającego z Insbruku półłokciową przypiął wstęgę. To ich przyprowadzało do wścieklizny, patrzali na niego jak na wilka, kiedy się do owczarni zakradnie. Dylewski siedział po prawej, wniosku ztąd jednak robić nie można. Niektórzy posłowie przyjechawszy późno, musieli zająć miejsca, jakie zostali próżne, inni znowu siadali umyślnie na prawej, aby wieśniaków naszych, którzy tam po większej części siedzieli, oświecać i ze szponów Stadionowskich wyrzywać. Już w skutek owęj gotowości do kapitulowania, trzymał się Dylewski polskiego przysłowia: »Gdzie nie można przeskoczyć, tam trzeba przeleść;« lecz że był mały i pękaty, za często zdawało mu się, że przeskoczyć nie można, że trzeba przełazić; to go skłaniało do polityki przełazającej, czeskiej. Jednakowoż nie potakiwał Czechom na oślep. Kiedy przy 7. §. praw zasadniczych chciał Brauner wolność osobistą opatrzyć tym dodatkiem: aby nie wolno było więzić tylko na mocy sądowego wy-

magania lub za poleceniem władz; (über richterliche Verordnung oder über Auftrag des Gemeindevorstandes.) to Dylewski zarzucił z gniewem posłowi przestnickiemu upodobanie w policyi. Zdarzało mu się nawet, iż na boku powtarzał: »Co prawda, to prawda no! Czesi ł..... Lecz słów za nadto gorących, jeżeli w izbie nie padły, nie godzi mi się powtarzać. Kiedy ministeryum pragnęło wydania sądowi kryminalnemu Jana Kaima posła z Krumau, obwinionego o obrazę majestatu, a posłowie czescy z żarliwością to popierali; opuścił Dylewski swój stółek, a stanąwszy po stronie lewój, z oburzeniem zawołał: »No wstydzę się miejsca, na którym siedziałem.«

Zdrowy rozsądek, poczciwe serce, szlachetne uniesienia, otwartość czasami zbytnia, oto głównejsze znamiona Mariana Dylewskiego.

TYTUS DZIEDUSZYCKI,

Posel Kopeczyniecki.

THE UNIVERSITY OF CHICAGO



owinienbym go obok Zdzisława Zamojskiego umieścić, bo stykali się z sobą ostatecznościami.

Długo przed sejmem ustawodawczym miał Tytus Dzieduszycki w kraju wzięcie światłego i politycznie ukształconego męża. Nie była to uzurpowana reputacya. Tytus Dzieduszycki idąc niezwykłym paniczów galicyjskich torem, spędził młodość na naukach, a w czasie kilkoletniego za granicą pobytu, przypatrując się uważnie biegowi spraw publicznych i życiu konstytucyjnemu narodów, zbogacił się sławą i umiejętnościami teoretycznie i praktycznie ducha, hojnie od natury uposażonego. Znane mu były dzieje obcych ustawodawstw, ich początek, ich wzrost i ich skutki; znał także usposobienie kraju swojego, jego dolegliwości, jego potrzeby, jego niedostatki. W chwilach politycznych przeobrażeń, kiedy nie jedną część zepsutą odjąć potrzeba, nie jedno bolesne uczynić cięcie, nie jedno zadać lekarstwo; bardzo są pożądaną tacy

operatorowie, którzy wyuczeni szeregiem zdarzeń przeszłości, znając przytém naturę swojego słabego, wzbudzają ufność, iż nie będą dopiero robić doświadczeń, lecz przykładają pewną rękę do dzieła. Dzieduszycki został posłem z wielkiem zadowoleniem intelektualnej warstwy i rzecz dziwna, prawie jednogłośnie zgodą wyborców; w kraju gdzie nie było dotąd politycznego życia, gdzie wybory powszechne nie odpowiadały zupełnemu niedoświadczeniu politycznemu i bardzo niepowszechnej oświacie; gdzie zatem wyborcy mogli ocenić przymioty prywatne, ale przymiotów publicznych, zdolności politycznych, po części znać nie mogli, po części ocenić nie umieli.

Jakżeż wytłumaczmy sobie Dzieduszyckiego zupełną w sejmie ustawodawczym nieczynność? bo nietylko w obradach w izbie nie brał udziału, ale nie bywał nawet na osobnych zgromadzeniach posłów polskich. Oto jak Zdzisław Zamojski za wielkie pokładał w sejmie ustawodawczym nadzieje, tak Tytus Dzieduszycki nie pokładał żadnych; jak Zdzisław Zamojski był łatwowiernym, tak Tytus Dzieduszycki sceptykiem; jak Zdzisław Zamojski był politycznym optimistą, tak Tytus Dzieduszycki politycznym pessimistą. Wypadki okazały, że nie wiara była kluczem otwierającym

zagadkę roku 1848., że Dzieduszycki nie mylił się w swym sądzie; ale to go nie usprawiedliwia. Bez wiary nie ma przyszłości, bez walki nie ma zwycięstwa, bez trudów i wysień nie ma postępu. Droga, jaką Dzieduszycki obrał, była drogą zwątpienia, prowadząca albo do materyalnego samolubstwa, albo do tureckiego fatalizmu. Przecież historia, którą znał Dzieduszycki, powinna go była nauczyć, że w polityce jak w gospodarstwie po wykarczowaniu pierwszego pnia orać jeszcze i siać nie można; a przecież trzeba od pnia pierwszego zacząć, bo i bez wykarczowania nie będzie plonu i pnie nie wykarczują się same. A kto ma po temu zdatność, ten jest powołany do tego. Byli i inni posłowie polscy, którzy zachowali się biernie, ale nie mamy do nich pretensyi, owszém chwalimy im to. Dzieduszyckiemu zaś ganimy. Byli i tacy, którzy również jak Dzieduszycki wiedzieli, że sejm ustawodawczy obecnie nic nie uzyska, że absolutyzm zawzięcie się wzmacnia, poznaje swoich przeciwników i oblicza może swoje przyszłe ofiary; więc nie przykładali wartości do sejmu, ale w sejmie pełnili swoją powinność, bo przyjęli mandat. Kogo gospodarz wysze z ziarnem, aby zasiewał, ten nie powinien mówić: przewidywałem rok nieu-

rodzajny, schowałem ziarno. Posłowi narodu mniej jak komukolwiek wolno być egoistą, nie siebie on zastępuje lecz naród, a życie narodu jest długie, przeznaczenie jego, chociażby tysiączeni utrudzane przeszkodami, jest pewne; ale wymaga pojedynczych usilności, wymaga współdziałania. Tego naucza także filozofia historii. W życiu politycznym poznaje naród swych ludzi, dla tego życie polityczne przed sąd narodu należy. Bez czynności nie ma życia, dla tego bezczynność polityczna jest polityczną śmiercią. Nie dość jest przyszłość przewidzieć, trzeba koniecznie w terażniejszości brać udział. Dobra jest przezorność, ale zgrzeszyć nią można: bo przebrawszy miarę, staje się bojaźnią. Cóż powiedzielibyśmy, gdyby kto w czerwcu ubrał się w kożuch i berlacze? Ludzie się dziwią i dziwią, a on się poci i milczy. W tym nadszedł styczeń i mrozy trzeszczące. Kożuch i berlacze przydały się; ten co je nosił, przewidywał przyszłość, ale czas długi nie miał względu na terażniejszość, nie brał w mój udział.

Reakcyja pokonała rewolucyę, rozgoniła ję robotników i sama na nowo buduje. To prawda! Ale ci, którzy się podejmowali być robotnikami, nie mogli się tak nazywać od nierobienia, jak lucus a non lucendo. Ich słowa rzucane z mó-

wnicy sejmowej wpadały do serca narodów i zakładały posadę budowy wprawdzie przerwanej, ale posadę, której żadna reakcyja nie zburzy.

Rozumiał może Dzieduszycki, że sejm ustawodawczy przybiera kierunki przekonaniu jego przeciwnie; w Wiedniu za nagle naprzód, w Kromierzu za nagle w tył. A komuż właściwiej było jak Dzieduszyckiemu przestrzedz, wykazać niebezpieczeństwa, sprostować? Wszak Dzieduszycki miał doświadczenie polityczne, jakiego może w sejmie nie było.

Zachowanie Dzieduszyckiego było ani ciepłym ani zimnym; ale nie powiem z apostołem: przeto wypływę cię z ust moich. Posiadał Dzieduszycki polityczną niepodległość i nie dawał się powodować wyrokom stronnictw. To myślało centrum, że go ma z sobą, to on znowu z lewicą głosował. W pytaniach jednak, które za drażliwsze uważał, używał nieosobliwego dyplomatycznego wybiegu: wychodził przed głosowaniem za drzwi. Gdyby rząd w stosunku do sejmu nie był oczywiście obłudnym, to jest w czasach bezpieczniejszych; Dzieduszycki, jakkolwiek skąpym byłby majstrem, który oszczędzając materiały, aby go naraz nie wydać, kraje za nadto dokładnie, albo troszeczkę za ciasno: jednakowoż

mógłby znakomite krajowi przynosić usługi swoją wiedzą i roztropnością. Ale postawiony między młotem i kowadłem tak, iż potrzebował albo narazić się prawdzie, albo tym, których prawda raziła — wybrał nieczynność. Brakowało mu téj odwagi cywilnej, która upomina się o dobre dla tego, że jest dobrém, nie zaś dla tego, że jest łatwém do dopięcia; która nie lęka się przesładowań, nie dla tego, że ich nie przewiduje, ale dla tego, że są niesprawiedliwe.

Do głównych przymiotów zbogaconego naukami rozumu Dzieduszyckiego liczę oględność i roztropność. Miał także i wady tych zalet: był w postanowieniu trudny, do czynu niewczesny. Po przeniesieniu sejmu przewidywał Dzieduszycki, że go rozgonią; nie spieszył się do Kromieryża. Nie składał jednak mandatu, tylko brał urlop po urlopie. Przewidywanie jego było znowu słuszne, ale sejm zniecierpliwiony ciągłemi zwłokami, zawezwał go stanowczo do powrotu. Ciśniony takim naleganiem, nie mogąc się doczekać spełnienia swych domysłów, przyjechał Dzieduszycki jakby umyślnie po to, czego unikał; sejm już dokonywał dni swoich.

Obrazy moje są oczywiście tém tylko, czém prace tego rodzaju być mogą, to jest: wnioskami

na wewnętrznego człowieka z jego objawów zewnętrznych, z jego mów i uczynków. Żaden z posłów nie czynił mi zwierzeń. Gdzie nie mam dat pewniejszych n. p. wyraźnie uczynionego politycznego wyznania, tam według mojego rozumienia praw psychologicznych domyślam się barwy politycznej, z własności umysłowych, z charakteru, z temperamentu, z życia prywatnego itp. W ten sposób postępując, zdaje mi się, iż polityka Dzieduszyckiego była polityką, którąbym nazwał angielską: to jest, nie na zasadach się opierającą tylko na interesie. Ale zasady są wieczne, interesa zaś narodowe zmienne według okoliczności, do których należą nie raz i szkła osobistego i kastowego interesu. Więc i wyznanie polityczne takich ludzi zmienia się ciągle. Takimi wiedziony uwagami zaszedłem do przypuszczeń, że wyznanie polityczne Dzieduszyckiego na sejmie ustawodawczym rakuskim (na innym może być inne) składało się z względów w części osobistych, w części fatalistycznych i dałoby się wyrazić niemal temi słowami: absolutyzm jest moczny, życie jest krótkie i bez tego pełne przykrości. Co się ma stać dobrego, stanie się i bez posła Kopeczynieckiego, a co się ma stać złego, lepiej, że bez niego się stanie. —

ADAM POTOCKI,

Posel Krakowski.

1870



góry muszę przytoczyć, że jak wielkie zdatności polityczne nie uzacniają jeszcze charakteru, tak znowu polityczna nawet nieudolność nie odejmuje cnotom osobistym i społecznym ich wartości i zasługi. Można być rozsądnym, dobrym patryotą, dbałym o dobro kraju i współbraci, a przecież złym politykiem. Są to własności nie przeciwne, ale odrębne. Ja staram się tylko stronę polityczną przedstawiać o ile to jest podobném; bo strona ta, jak wszystkie inne przybory duchowe, nie daje się zupełnie od całości człowieka oderwać i wydzielić.

Posel, do którego teraz przystępuję, był, nie domyślając się tego, przepełniony arystokratycznymi wyobrażeniami. Nie były to zasady, bo nie nabył ich własnym wyborem z namysłu i zgłębiania, ale w nich wzrósł i wychował się właśnie jak ten, którego w wodę włożywszy, musi być mokry.

Przeszłość obumiera powoli i nie można jęj naraz wyczynić od terażniejszości. Tak różne okresy dziejowe mają właściwego sobie ducha czasu, tak duch terażniejszości jest tylko tamtych potomkiem i spadkobiercą. Przez kapitał odziedziczony przysparza nowych skarbów. Do oceanu oświaty dzisiejszėj spływają jak rzeki do morza nauki, wyobrażenia, instytucje i t. d. czasów minionych. A kiedy wody według właściwości swoich różne wydają istoty, nie można się dziwić, że i ludzie są różni według żywiołów, w których oddychają.

Niewątpliwe to i do zrozumienia łatwe, że do uczuć arystokratycznych przemawiała szczególnież tak zwana czeska polityka. Usiłowała ona, jak wykazałem wyżej, pogodzić rewolucje z przywłaszczeniami historycznymi, z prawami z Bożej łaski, z nadaniami (przywilejami). I czegoż mogli więćej żądać arystokraci? Monarchia spadkowa jest uświęceniem lepszości rodowej, jest jęj uznaniem w najpierwszym rozdziele ustawy państwa. Monarcha jest tam największym przywilejem, najpierwszym tytułem; jest jak mówią Hiszpanie, najlepszym szlachcicem. Myśli i zasady mają tak jak istoty cielesne dążność zachowania rodu swowego rozplemienianiem. Ledwobym nie rzekł, że

w świecie moralnym jest także pleć i jęj pociągi. Następstwa zasad są ich potomstwem. Wielkie nadanie płodzi, jak dziatwę, nadania drobniejsze, wielki tytuł mniejsze tytuły. Na sejmie ustawodawczym rakuskim nie było wprawdzie mowy o monarchii spadkowej, nie miano sił przeciw jęj wkorzenieniu; więc uznawano ją jako zabytek przeszłości ciągle trwający, jako prawo z potrzeby. Ale na sejmie ustawodawczym była mowa o przywilejach, o szlachcie i tytułach, a liberalni posłowie czeskiego stronnictwa głosując za ich zniesieniem, popełniali wielką niesprawiedliwość, popełniali w prawodawstwie gwałt przeciw naturze, skazywali rodziców na bezpłodność. Ich polityka była niejako polityką od biedy, ustępowaniem z konieczności; więc wpadała nieraz w sprzeczność z ich pojęciami. Adam Potocki, który tę politykę całkowicie wyznawał, nie pojmował szczerze, jakby szlachectwo znieść można. Zdawało mu się, że do tego trzebaby znosić całą historię, znosić nazwiska. Przecież uczą i arystokratycznych rodzin dzieje, że dzieci są zawsze po mężu. — W czasach naszych i w kraju naszym jest jeszcze wielu arystokratów, którychbym instynktowymi nazwał. Wyznają oni rozumowe, demokratyczne prawdy, ale nie w całkowitym ich

związku, tylko w pojedynności. Nie pojmują jakby bez monarchii mógł być ład, bezpieczeństwo i spokój. Równe pomieszanie elementów przeszłości z elementem współczesnym tworzy takie amfibie i nadaje teraźniejszości w kraju naszym znamie przechodowej epoki. Jestto jakby spółkowanie cielesne dwóch rozmaitych rodzajów, z czego powstają niejako muły duchowe, nie mające w sobie dalszej siły plemiennej; bo duch ludzki powraca zawsze do czystych jednorodzących zasad, w nich ma źródło dalszego postępu, wiecznego życia.

Adam Potocki był nieszczęśliwym mówcą. Umiał on wieloma, bardzo wieloma słowami mało lub nie powiedzieć. Głos jego pod względem materyalnym był rozwlekły i jednostajny; pod względem treści, nie wstrząsał, nie jęczył, nie podbijał uwagi słuchaczy, nie nauczał, nie objaśniał, nie błyszczał, nie dowodził, nie przekonywał; więc głuchnął nieuważany. Nie był on niedorzeczny, ale niedorzeczność dla swojej excentryczności, dla pewnych stanowiących ją wyszczególnień, więcej zajmuje. Cechowała go jakowaś mdła obojętność, brak siły rozbierającej, brak barwy czerstwego ducha, brak pochwylenia przedmiotu. Nie była to także zupełna słabość wszy-

stkiemu ustępująca; owszém przeciw wpatrzeniu się głębokiemu, przeciw wywodzeniu z zasad, miał Potocki zawsze tysiące i tysiące przeszkódek na samym wierzchu pływających. Popelniał on w rozumowaniu błąd tych gospodarzy, którzy przez zbytnią dbałość dla plew zaniedbują ziarna. Każda prawda znachodzi w życiu swoje zawady, swoje trudności. Potocki wypatrywał je doskonale, wszystkie na wierzch wywołał, wszystkie wyliczył i dla nich odrzucał prawdę, albo w nią wątpił. Do tego przybywała jeszcze jakowaś dziwna czy parlamentarska дума czy wstyd parlamentarski, aby nie popierać tylko to, przy czém z pewnością utrzymać się można. — Powiecie może, iż popieranie tego, przy czém utrzymać się nie można, jest bezużyteczne? Ale zaspakaja posła w jego sumieniu, co nie jest względem parlamentarskim; daje polityczne świadectwo w obliczu narodu, co nie jest względem parlamentarskim, i nareście co już jest względem parlamentarskim, bez popierania przy niczém utrzymać się nie można; a pewność utrzymania lub nieutrzymania przywiduje się nie raz według cudzych pozorów, lub własnych słabości.

Arystokratyczne Potockiego wyobrażenia wpływały oczywiście na jego zdanie polityczne, na

jego rozumienie przysłego składu społeczeństwa; ale nie była to arystokracja zepsucia, gnusności i pogardy niższych. Przeciwnie była ona dźwignią wzniosłych uczuć, pobudką do pięknych czynów, do wyszczególnień, do odwagi. Po wypadkach szóstego października rozbiegło się jak wiadomo, czeskie stronnictwo. Potocki został, nie zmienił jednak widzenia swojego, nie utajał swych dążeń. Kiedy wniesiono w izbie, aby za-
wezwąć do pospolitego ruszenia, powstał Potocki, wystawując klęski, na jakie kraj nasz przez to narażonyby został. W tym rysie charakterystycznym błyszczała świetnie zacność jego uczuć, jego przywiązanie do kraju. Mimo tego, że w sejmie październikowym wytrwał do końca, złożył wszelako swój mandat, odwołując się na nowo do zdania narodowego również jak ci posłowie polscy, którzy trzymając ze stronnictwem czeskiem, sejm październikowy opuścili. Wyborcy Potockiego nie podzielali tak zwanój czeskiej polityki. —

WALERIAN PODLEWSKI,

Posel Kossowski.

WATERBURY BOOKS

1892



Sejm ustawodawczy Rakuski miał trzech gospodarzy, których po niemiecku ordnerami zwano. Jednym z nich był Walerian Podlewski. Ledwo się posłowie zjechali, trzeba było komuś natychmiast poruczyć dbałość o porządek zewnętrzny i wewnętrzny tego nowego zgromadzenia. Ludzie nie znali się jeszcze; więc wybory wypadły niejako instynktowo prawie na oślep. Jednakowoż długa znajomość i rozważne ocenienie zdatości, nie mogły nigdy szczęśliwszego uczynić wyboru, jak był wybór posła Kossowskiego. Poznał się sejm na tém i utrzymał go w raz nadanym urzędzie do końca. Gorliwa ochoczość, niezmordowana czynność, prędkie pojęcie zadania swojego, ciągła w spełnianiu pamięć, uprzedzająca uprzejmość, czyniły go powołanym do zatrudnień, które go stykały z jednej strony ze wszystkimi członkami zgromadzenia narodowego, z drugiej strony z publicznością. Były to wprawdzie usługi czynione sejmowi tylko, ale

jak je wyszczególniało powszechne sejmku uznanie, tak też zasługują na publiczne wspomnienie. Jako zastępca narodu, posiadał Walerian Podlewski także wybitne znamiona. Był on posłem prawdziwie obywatelskim; przynosił pocziwość z domu na sejm, z życia społecznego w życie polityczne. Niepojmował, aby postępowanie, któreby w zwykłym stosunku ze znajomymi i przyjaciółmi uchodziło za nieczyste, mogło gdziekolwiek uchodzić za zaletę, jednać zasługę. Posadą polityki jego był zdrowy rozsądek, wyborne serce, znajomość kraju i gorące pragnienie ulgi na jego cierpienia, porządku na jego zawiłości. Cele jego były proste i bliskie, nie chciał i nie umiał krętymi dopinać ich drogami. Nie szukał dla życzeń swoich innych pozorów, nie mieszał udania i obłudy do swojej polityki. Stał mu przedewszystkiem przed oczyma obecny zamęt stosunków społecznych w kraju jego; więc urządzenie ich i ustatkowanie ciążyło mu głównie na sercu, a dalszą przyszłość powierzał następnym zabiegom i opatrności. W tym też duchu przemawiał przy wniosku Kudlicha.

Podziwiać trzeba nieskończoną rozmaitość darów przyrody, przypatrzwszy się dwom równie czystym, a całkiem odmiennym duszom jak Waleriana Podlewskiego i Floriana Ziemiałkowskiego.

Zbadanie filozofii dziejów i magnetyczny chrzest więzienia dawały Florianowi Ziemiałkowskiemu jakby szkła przybliżające, pogląd w przyszłość; brak tych nabytków i zajęcia więcej praktyczne jak spekulacyjne wyrabiając umysłowe siły Waleriana Podlewskiego w sferze odpowiedniej, dawały mu jasne terażniejszości widzenie. Łatwo pojąć, jak piękną, jak użyteczną stanowiliby całość ludzie tacy w sejmie narodowym, nie wykrzywianym, nie psutym przez obce widoki i interesa.

Podlewski był człowiekiem terażniejszości, widział jój pierwsze potrzeby; nie chciał jój cofać, ale nie wyprzedzał jój także. Pojmował zadanie dnia swojego i w jego sumienném spełnieniu upatrywał przygotowanie jutra. Takie usposobienie czyniło go zachowawczym, przeznaczało do sejmowego środka. Ale był on także Polakiem, czuł niewynagrodzone krzywdy swego narodu, wiedział, że zasiada w sejmie, do którego go sprowadziły klęski ojczyzny, i dla tego siedział na lewój. Na tych zasadach opierało się jego uczucie sprawiedliwości, a z uczucia tego wypływały jego głosowania. Skoro tak zwane wyższe polityczne względy domagały się zboczenia z téj drogi, to wyższe polityczne względy były dla niego nie uczciwością, były politycznym

brudem. W zadaniu zniesienia powinności poddańczych głosował za wynagrodzeniem; w zadaniu przypuszczenia deputacyi węgierskiej za przypuszczeniem. Zniesienie szlachestwa zdawało mu się obojętném. Wiedział on dobrze, że owa ubrdana lepszość rodowa opierająca się na przywłaszczeniach, na dowolnych nadaniach, na nadużyciach przemocy, jest zabytkiem głupoty i niewolnictwa wieków minionych; a zacności uczuć, a miłości ojczyzny, a gotowości służenia jój i cierpienia dla niej, co jedynie wyszczególnia i uszlachetnia; żadna ustawa ludzka, żaden pergamin nadać i odjąć nie może. Pomimo wszystkich pieczęci stwierdzających dawność i świetność rodową, pomimo wszystkich dostojenstw, tytułów i dóbr, kto w ręku obcego rządu jest służebnym narzędziem ucisku własnych współziomków, ten dziś w przekonaniu każdego rozsądnego jest nikczemnikiem. Może próżności swojej cześć swoją poświęcić, ale nie odzyska jój w nadaniach i mianowaniach despoty. Podłość zgadza się z dyplomami, z prawdziwém szlachestwem nigdy. — Gdyby był Adam Potocki utrzymywał, że szlacheństwo zniesioném być nie może, jak długo będą takie serca, jak Waleriana Podleskiego — zgodziłbym się.

SZYMON KOZAKIEWICZ,

Posel Myślenicki.

STATION ROYAL

1840



wszystkie poselstwa sejmu ustawodawczego rakuskiego miały swoich głupców, lecz dwa tylko miały swoich pajaców. Włosi Pitterego, Polacy Kozakiewicza. Już samo powyższe rozróżnienie dowodzi, że nie rozumiem pod pajacostwem umysłowego ograniczenia, tylko dar osobliwszy rozśmieszania wszystkich każdym gestem, każdym głosem, całą postawą, całą wymową. Nie wiem, czy się to zgadzało z godnością zgromadzenia narodowego, ale pewna, iż ile razy Pitteri lub Kozakiewicz ukazali się na mównicy, to sejm ustawodawczy pękał ze śmiechu. Mowy Kozakiewicza nie rozśmieszały swą treścią, bo go nikt nie rozumiał. Najprzód z języka niemieckiego posiadał tylko nagie wyrazy. Jak je złożyć, jak je wymówić, o to nie pytał. Okresy jego przypominały cokolwiek owe wschodnie języki, w których nie ma ani rodzajników, ani rodzajów, ani spadkowań, ani zaimków, ani

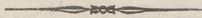
zgodności przymiotników; tylko nieodmienny rzeczownik i czasownik w trzech czasach wybitnych, w przeszłym, teraźniejszym i przyszłym. Co zaś do wymowy niemieckiej, to Kozakiewicz był jej przeciwnożnikiem (antypodą) w całej słowa tego rozciągłości. Jeszcze co Niemcy krótko wymawiali, to i on sobie czasami krótko wymówić pozwolił; ale co Niemcy długo, on zawsze krótko. Następujące słowa jego niech nam służą za przykład: Kirchliche Patron verschlägt den Candidat.

Nadto miał Kozakiewicz z przyrodzenia język cokolwiek powikłany w kłaki, a do tego jeszcze mówił szybko, więc słowa naciskane pośpiechem jego oddechu, gniotły się nieboraczki tak, że na dziesięć zgłosek ledwie kiedy wypadło dwie nieśluczone i długie. Tym kurczom wymowy wtórowała wybornie cała gestykulacya. Lica drgały nerwowo jak struny, wargi wiecznie ruchliwe ściągały się spiesźnie jak sprężyny. Wytrzeszczał oczy, jakby się nagle domyślał lub ważne robił odkrycie; wił się na prawo i na lewo, przeginał się na tył i na przód. W czasie mowy nad wnioskami Kudlicha przechyla się nagle, opuszcza ręce na brzuch, jak kiedy ptak ranny skrzydła obwiesi i nie pokazuje umierającym ze śmiechu słuchaczom tylko sam wierzch swjej głowy. Mini-

steryum ułękło się téj postawy, posadziło go naj-niewinniej i spodziewało się nieczystości w izbie; a nim poseł myślenicki zdołał podnieść głowę, już dyplomaci byli za drzwiami. Była to jakowaś Pythyjska nawalność uczuć, która opanowawszy całego człowieka, nie mieściła się w słowach choć spiesznych i parowała porami. Z téj wezbranej uczuciowości wypływała anielska duchowa naiwność. Kozakiewicz był przeciw wynagrodzeniu za powinności poddańcze, przyznawał jednak, iż przez to wiele wdów i sierot przyjdzie do nędzy; radził więc uczynić na nie składkę, i obiecywał sam przyczynić się do téj jałmużny. Poseł myślenicki nie miał złych chęci, nie umiał być obłudnym, pokazywał się, jakim jest. — Wachał się długo, które stronnictwo wesprzeć swoją pomocą, było ruch moralny podobny owemu fizycznemu na mównicy, to w tył, to naprzód. Aż wreszcie w Kromieryżu postanowił nieodwołalnie. Czechów spotkał ten zaszczyt. Zapytacie może, dla czego posła myślinickiego między politycznemi obrazami umieszczam? Oto, był on w poselstwie polskiem osobliwością i charakteryzuje wybornie jedną stronę sejmu ustawodawczego rakuskiego. —

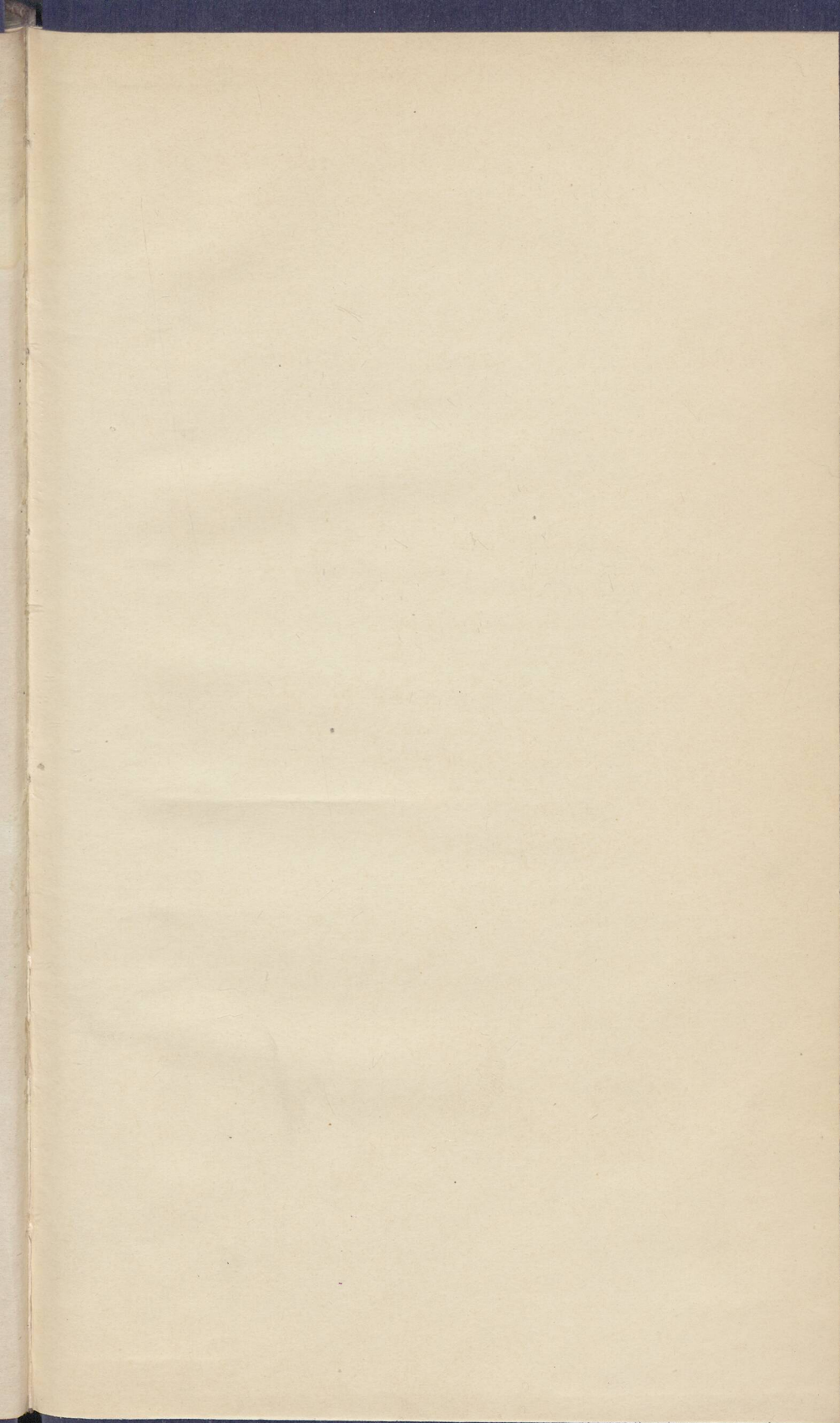


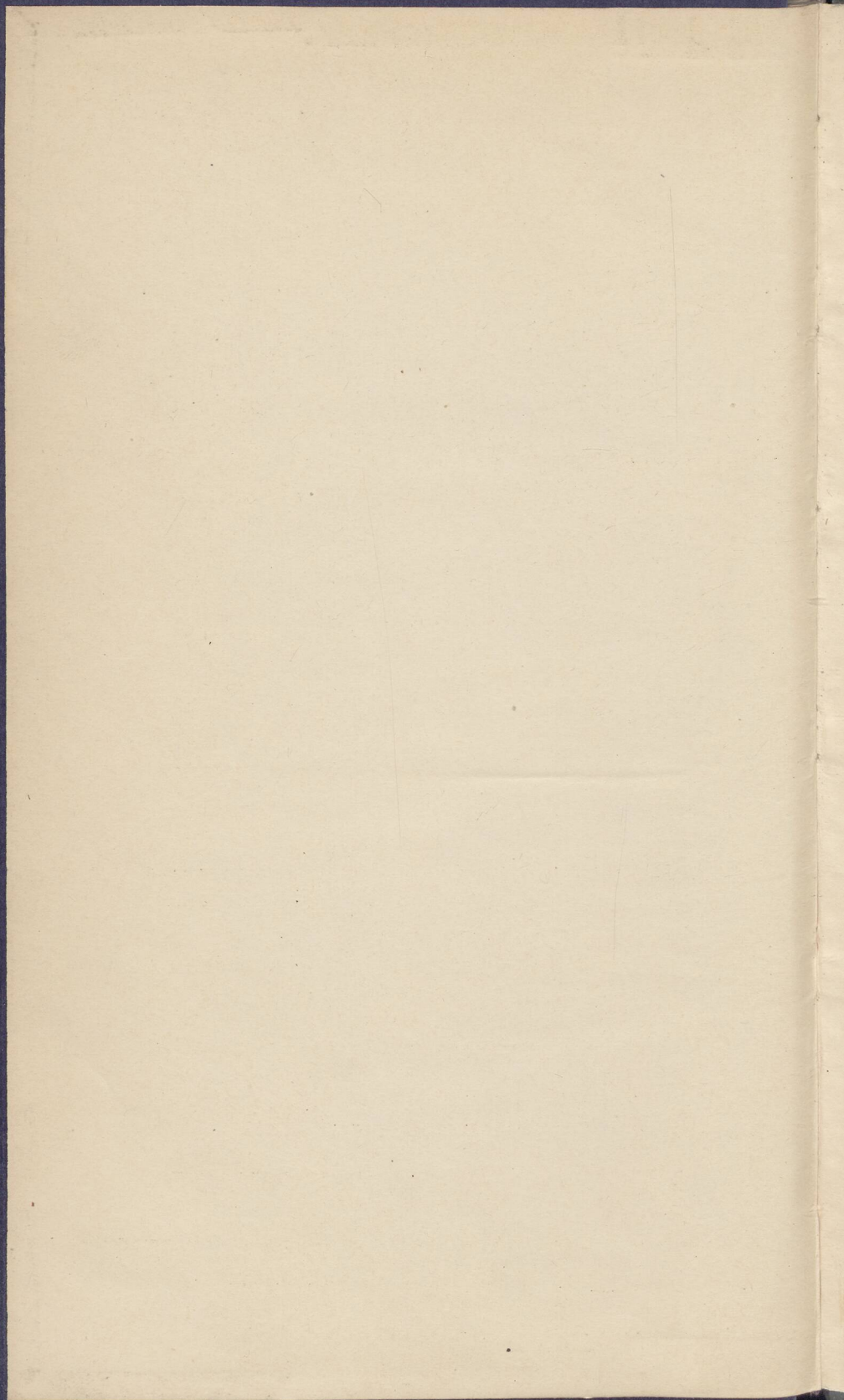
ą jeszcze posłowie nasi, którzy bądź dla osobistości swoich, bądź dla czynności w sejmie zasługują na wspomnienie i uwagę publiczną. — Mimo przekonania tego nie zamieściłem ich tutaj. Bo oddanie politycznej podobizny człowieka w takich ramach, jakie wytknąłem sobie, wymaga nie mało pracy przygotowawczej zważenia wszystkich okoliczności, zastanowień nad każdym niemal czynem i słowem. Do tak obszernych badań czas mi dotąd nie starczył. Nie puszczam jednak tego przedmiotu; od przyjęcia, jakiego doświadczy to dziełko, zależeć będzie dalsze moje postanowienie. —



	strona
Franciszek Smolka	4.
Franciszek Palacki	15.
Jerzy Lubomirski	27.
Franciszek Stadion	43.
Florian Ziemiałkowski	87.
Zdzisław Zamojski	95.
Marian Dylewski	115.
Tytus Dzieduszycki	125.
Adam Potocki	135.
Walerian Podlewski	143.
Szymon Kozakiewicz	149.







Introligatornia
Uniwersytetu
Poznańskiego
w coll. minus

BOOKKEEPER 2008



BG0486294

